Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

R. k VI. Niedziela, dnia 27 marca 1938 r. Nr. 13



Wiosna idzie...

Proszą się moje słowa,
odbite w własnych zwrotkach,
żeby dziś wiersz napisać
o wiośnie...
i o stokrotkach...

Żeby złudzenie wiosenne
zaszeleściło powiewem — —
żeby błękitnym cieniem
szumiało
w przydrożnym drzewie.

Puszyste bazie srebrne,
słoneczną wstęgą związane —
powrotem bliskiej wiosny
pieszczotą
roześmiane...

Jestem zgnębiony radością
rozłąki i powrotu — —
myśli są dla mnie przejrzyste,
błękitne
i szczerozłote...

Józef Baranowski

MAX DU VEUZIT

5)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO IRENY MACIEJEWSKIEJ

— Ach, doskonale; pan przypuszcza, że te dwa słowa „Tak" i „Nie" są niewystarczające?

Potwierdził, więc ciągnęłam dalej.

— Przypuśćmy, iż pan życzy sobie, by poprawić poduszkę pod głową, zmienić miejsce, przejść się, jednym słowem, że pragnie pan czegoś, czy może pan w tym wypadku podnieść rękę lub ramię?

Uczynił to, aprobując spojrzeniem moją inicjatywę.

Ruch ten byłby nieuchwytny dla kogoś nieuprzedzonego! Dla mnie jednak, śledzącej ustawicznie jego najmniejsze poruszenia, był zupełnie wystarczający.

— Bardzo dobrze, powiedziałam. Pozostanie mi tylko domyśleć się co pan sobie życzy. A teraz, w wypadku gdyby pan chciał mi coś powiedzieć?

Zaczął znowu mruczeć.

— Jak dotąd, bardzo dobrze. Zdaje mi się, iż będziemy mogli po trochu porozumiewać się. Trzeba jeszcze tylko przewidzieć wypadek, gdy nie będzie pan zadowolony z mych postępków lub z mych słów. Jakże to pan wyrazi?

Tym razem mruczał i gestykulował jednocześnie. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

— Brawo! Umie pan sobie doskonale radzić, gdy się panu coś nie podoba; im więcej będzie pan protestował, tym łatwiej zrozumiem, iż pragnie pan czegoś innego.

Przyciągnęłam mały fotelik i usadowiłam się u jego nóg. A potem, skrzyżowawszy ramiona na jego kolanach i wznosząc oczy ku nieruchomej twarzy, zaczęłam z innego tonu:

— Teraz, rzekłam bardziej poufale, proszę powiedzieć mój przyjacielu... gdyż pozwala pan, bym go tak nazywała, nieprawdaż, panie de Saumarte? Będzie pan moim przyjacielem, moim bratem, a ja stanę się pana małą, serdecznie oddaną przyjaciółką.

Potwierdził to, a ręce jego spoczęły na mych dłoniach.

— A więc, mój duży przyjacielu, proszę mi powiedzieć, czy chciałby pan, bym coś uczyniła dla niego?

Potwierdził.

— Poczytać panu? pytałam dalej.

— Nie, mruknęły usta.

— Zagrać na fortepianie?

— Nie.

— Chce pan wyjść trochę do parku?

— Tak, powiedziały oczy.

— Doskonale, zawołałam. Zrobimy piękny spacer.

Wstałam, by otworzyć drzwi na taras.

Szukając dookoła, zapytałam:

— Czy nie kładą panu płaszcza przed wyjściem?

— Nie.

— Ani kapelusza?

— Nie.

— Nie chce pan nic? Co prawda jest tak dziś ciepło. A więc chodźmy, jestem już gotowa.



Książę - małżonek Bernard v. Lippe Biesterfeld złożył ściśle prywatną wizytę królowi angielskiemu.

Pomogłam mu wstać; małymi, powolnymi krokami, kierując niezręcznie nogami, wlokącymi się po podłodze, doszliśmy do tarasu, zalanego słońcem.

Przyznaję, że mi biło serce, gdy go prowadziłam. Bałam się trochę, podtrzymując to wielkie, kołyszące się nierównymi ruchami ciało. Miałam wciąż wrażenie, że lada chwila zegnie się wpół i upadnie.

Podtrzymywałam go z całych sił tak mocno, że po przebyciu trzydziestu metrów byłam już zupełnie wyczerpana.

Szedł dotąd, jak gdyby nie widząc moich wysiłków, z uwagą skupioną całkowicie na tym, by stawiać jedną nogę przed drugą.

Z tarasu weszliśmy do parku.

Skierowaliśmy się w niewielką alejkę, malowniczo wyciętą wśród lasu.

Musiałam jednak zatrzymać się, by trochę odpocząć, gdyż nie miałam już siły dłużej go tak podtrzymywać.

On zaś przeciwnie, zdawał się łatwiej oddychać pod drzewami. Wyprostował swą wysoką postać i wyswobodził się trochę z mych rąk.

Zrobiłam odruch przerażenia.

— O mój Boże, upadnie pan!

— Nie, mruknął.

Odwróciwszy się ku mnie, spostrzegł iż jestem zadyszana, czerwona. Dłoń jego wyciągnęła się raptownie i ujęła mnie za rękę.

Patrzyłam na niego w zdumieniu, zapytując samej siebie czy nie śnię. On tymczasem wziął mnie pod ramię, by mnie podtrzymać i... pociągnąć za sobą w głąb alei.

Zrobiłam kilka kroków jak we śnie — tak zdumiona, iż nie byłam w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Musiałam jednak w końcu pogodzić się z rzeczywistością. Nie śniłam!

To naprawdę on prowadził mnie za sobą, on mnie podtrzymywał, on pomagał mi iść. Czułam pod ręką jego twarde ramię, jak z żelaza. Trzymał mnie tak mocno, iż byłam zupełnie przyciśnięta do niego, nie mając możności oswobodzić się, odczuwając każdy wstrząs jego nierównych kroków.

Nie, nie śniłam i moje zdumienie ustępowało zwolna przerażeniu.

Co oznaczało to niezwykłe zachowanie mego towarzysza?

Były więc chwile, gdy mu powracała władza w członkach? Chwile, w których słaba istota odzyskiwała resztki dawnych sił? Przypomniałam sobie raptem niektóre słowa, które słyszałam niedawno od starej służącej.

Mówiła ona:

— Są chwile, kiedy trzeba go pilnować gdyż staje się zły... kilka osób musi go przytrzymywać... jest opętany przez diabła...

Zadrżałam. To popularne powiedzenie nabrało teraz w mych oczach straszliwego znaczenia.

Byłam taka mała przy tym monstrualnym człowieku, który mnie ciągnął za sobą, iż zdawałam sobie doskonale sprawę ze swej bezsilności.

Podniosłam oczy, chcąc się uspokoić widokiem tych biednych, zniszczonych rysów, raczej bolesnych niż złośliwych w wyrazie.

Niestety! twarz jego wydała mi się okropniejsza niż zwykle. Na skutek wysiłku, który uczynił, by ciągnąć mnie za sobą, mięśnie szyi przebijały poprzez wysuszoną skórę. Pod zwichrzonym zarostem, wydatna i kanciasta broda, podana do przodu, miała bestialski wyraz, podkreślając dobitniej piekielny uśmiech wąskich warg.

Jakąż upiorną twarz miał w tej chwili!

Chciałam się oswodobzić i uciec, lecz ręka ze stali zacieśniła bezlitosny uścisk. Usiłowałam zatrzymać go, zahamować jego mechaniczny chód, nogi moje musiały jednak wlec się za nim.

Byłam zupełnie bezsilna.

Doznałam wrażenia, iż jakiś oszalały faun wlecze mnie za sobą.

Wydałam okrzyk zgrozy.

Dziwny automat raptownie się zatrzymał.

Widząc mnie bladą i słaniającą się, wyciągnął drugie ramię by mnie podtrzymać.

Wzruszenie było zbyt silne. Czułam, iż blednę coraz więcej, iż słabnę... ujrzałam nagle przed sobą rozwartą ciemną przepaść bez dna... uczepiłam się wyłogu marynarki mego towarzysza...

Chciałam się powstrzymać, lecz głowa moja obsunęła się na jego ramię i straciłam przytomność.

*

Jak długo trwało to omdlenie? Nie wiem.

Gdy przyszłam do siebie, siedziałam na ławce, z głową opartą o pień drzewa. Pierwszym wrażeniem, które odczułam była twardość drzewa, uciskająca mi czaszkę.

Otworzyłam powoli oczy i ujrzałam nad sobą przebijający przez liście błękit nieba.

W miarę, jak odzyskałam świadomość, powracało mi przerażenie. Czując się znowu bliską omdlenia, przymknąwszy oczy, starałam się uchwycić uchem jakikolwiek dźwięk, według którego mogłabym się jakoś zorientować. Nic jednak nie dochodziło do mych uszu i ta cisza uspakajała mnie.

Nabrałam odwagi, by się rozejrzeć dookoła. Rozpoznałam aleję, którą szliśmy; zdala widniał poprzez grzędy kwiatów trawnik, ciągnący się aż do tarasu.

Czułam, jak moje przerażenie zwolna ustępuje; nerwy się odprężały, strach ulat-

niał się w miarę jak powracały mi siły.

Poprawiłam się na ławce, by usiąść wygodniej i przeciągnęłam się. Wtem spostrzegłam mego towarzysza, siedzącego nieruchomo na drugim końcu ławki.

Dreszcz wstrząsnął mną na wspomnienie tych chwil grozy, których stał się on powodem.

A teraz nie wydawał mi się przecież straszny!

Mimo to jednak rozglądałam się bacznie po ścieżce, ciągnącej się z obu stron ławki. Gdyby zrobił jakiś podejrzany ruch w moją stronę, mogłabym teraz z łatwością uciec.

Ale on nie poruszył się nawet; siedział z wyciągniętymi na kolanach rękoma, z wzrokiem utkwionym w przestrzeń:

Przyszło mi nagle do głowy, iż w chwili gdy straciłam przytomność znajdowaliśmy się na środku ścieżki i że byliśmy przecież zupełnie sami w tej pustce. Nie przypominam sobie ławki, na której siedzieliśmy teraz... By się na niej znaleźć, trzeba było mnie tu przyciągnąć. Oznaczało by to, iż miał on dość sił, aby mnie przenieść.

Musiał też przypomnieć sobie o istnieniu tej ławki, na której mnie usadowił. Jeszcze jeden dowód tego, iż myślał, miał pamięć...

Wreszcie ocknęłam się z omdlenia, siedząc poprawnie na ławce w porządnie ogarniętej sukience z głową wygodnie opartą o pień drzewa.

Miałam w tym niezaprzeczalny dowód uwagi i troskliwości! Faun okazał się tylko biednym człowiekiem cywilizacji!

A pozatem, czyż nie dlatego usiadł na drugim końcu ławki, by mi dowieść swego szacunku, by mnie uspokoić co do jego zachowania w czasie mego omdlenia?

Wszystkie te spostrzeżenia nie zgadzały się zupełnie z objawami szału, którym zdawał się być dotknięty. Przeciwnie — potwierdzały logiczny bieg myśli.

A jednak to nie był sen, ten dziki spacer z ramieniem ściśniętym jak w imadle przez jego ramię... Czyż śniłam, gdy mój okrzyk pełen grozy zatrzymał go? Miałam go jeszcze przed oczami, jak pochylał się nade mną podtrzymując mnie ramieniem, przyciągając do siebie, przyciskając mnie do swej piersi, drżąc z przerażenia a potem nieprzytomną...

Nie był szalony wówczas, gdy odczuł od razu, iż musi mnie podtrzymać, musi mi pomóc...

Nie wiedziałam co myśleć o całej tej przygodzie. Im bardziej się zastanawiałam, tym większym absurdem wydawało mi się moje przerażenie. Nie byłam już nawet pewna czy w rzeczywistości przeżyłam tę okropną chwilę grozy, gdy zdawało mi się, iż jestem zgubiona, porwana przez szatana.

Należało teraz zbliżyć się do niego, podziękować za troskliwość i opiekę, przeprosić za ten śmieszny przestrach.

Wstałam ze swego miejsca, by usiąść blisko niego.

— Dziękuję panu, panie de Saumarte, za okazaną mi pomoc i przepraszam za to głupie omdlenie, które pewnie zaniepokoiło pana.

Siedział nieruchomo, jakby nie słysząc mnie, położyłam więc łagodnie rękę na jego ramieniu, by zwrócić na siebie uwagę.

— Proszę mi nie brać tego za złe, panie Januszu. Powinnam być silna, ponieważ zaofiarowałam panu swą pomoc na spacerze, a tymczasem to pan musiał mi pomagać.

Słaby uśmiech zajaśniał na jego twarzy; wargi się rozchyliły, jakby chciał o coś zapytać.

Zdawało mi się, iż odpowiem na to niewymówione pytanie, rzekłszy:

— O, jest mi już teraz znacznie lepiej! To śmieszne osłabienie zupełnie przeszło.

Widziałam jednak, iż słowa te nie zadowoliły go. Chciał wiedzieć coś innego.

Zawahałam się trochę i zapytałam odważnie:

— Chciałby pan wiedzieć co mi się stało?

— Tak, potwierdził.

— A więc, rzekłam, rumieniąc się. Otóż biegliśmy... wtem nogi się pode mną ugięły... Zrobiło mi się słabo... wszystko mi zawirowało przed oczami... no i już!

Lecz on wciąż przecząco wstrząsał głową.

— Nie, nie — mruczał.

Nalegał wciąż, żądając dokładnych wyjaśnień. Wahałam się, trochę zakłopotana. Można było jednak przypuszczać, iż wywierał on na mnie wpływ, któremu nie mogłam się oprzeć.

Czyż od chwili, gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, myśli moje nie były ustawicznie nim zajęte?

Zadałam sobie w tej chwili pytanie, czy też może istnieć między nami jakieś tajemnicze, wzajemne przyciąganie się naszych jaźni?

Czyż wszystko nie było dziwne w tej przygodzie? Nasze spotkanie... Ta nagła chęć zaopiekowania się nim... To niejasne przeczucie, iż umysł jego funkcjonuje... A nawet nasze rozmowy, podczas których tylko ja właściwie mówiłam, wpadając instynktownie na słowa, które wprost zdawałam się odgadywać w jego myślach?

W tej chwili rozumiałam doskonale co chciał wiedzieć: rzeczywistą prawdę o przyczynie mego omdlenia.

I mimo, iż przeczuwałam, że odgadł on prawdziwy powód, powiedziałam mu o nim, ponieważ tego żądał.

Ściskając go serdecznie za rękę, rzekłam pokornie, by nie zranić go swą szczerością:

— A więc tak! Przestraszyłam się... przestraszyłam się pana. Poczułam raptem, iż jest pan silny, szedł pan tak prędko... miałam wrażenie, że pan mnie unosi... nie mogłam nic zrozumieć... zdawało mi się, iż nagle stał się pan zupełnie innym... I ogarnął mnie taki strach, że aż krzyknęłam z przerażenia... aż zemdlałam ze strachu!

Przykra cisza zapanowała po moim wyznaniu.

Człowiek, który przed chwilą słuchał mnie uważnie, opuścił głowę, zmiażdżony bolesnym przygnębieniem.

Współczucie mi podszepnęło treść smutnych rozmyślań tego nieszczęśnika:



W słonecznej Kalifornii rozkapryszone Amerykanki urządziły sobie walkę śnieżną, lecz niestety tylko sztucznym śniegiem,



W dniu 2 kwietnia rozegra się słynny, tradycyjny wyścig ósemek wioślarskich uniwersytetów Oxford i Cambridge w Anglii. Na zdjęciu załoga Oxfordu podczas zaprawy.

— Mieć zdrowy umysł, szlachetne serce i czuć się przy najmniejszym ruchu powodem strachu i grozy, być tak obciążonym przez chorobę! I gdyby jeszcze to była jakaś brzydka choroba, następstwo jakiegoś grzechu! Ależ nie, była przecież owocem bohaterstwa, nagrodą za odważne przelanie drogocennej krwi!

Uścisnęłam go znowu za rękę.

— Panie de Saumarte, nie powinien pan gniewać się za moją szczerość, gdyż sam pan jej żądał.

— Tak, tak — potwierdził, uspokajając mnie tym ruchem.

Nalegałam jednak dalej, pragnąc uniknąć wszelkich niedomówień między nami:

— Pan jest zbyt szlachetny, by mi nie przebaczyć niezależnych od mej woli uczuć... To przerażenie zostało wywołane nieporozumieniem. Nie znam pana dostatecznie, lub raczej źle znam pana. Przeczuwam jakąś tajemnicę w życiu, postępowaniu, uczuciach pana... Nawet siostra nie zna pana teraz dokładnie, gdyż nie jest pan z nią szczery... Ja zaś, zmuszona jestem dopełnić swą wyobraźnią wszystko, czego nie wiem ściśle o prawdziwym charakterze pana, o jego stronie duchowej, którą ukrywa pan zresztą przed wszystkimi, dałam się unieść imaginacji, która poddała się zbyt pochopnie pewnym słowom, ruchom, przypuszczeniom...

Aprobował to skinieniem głowy, lecz jednocześnie usiłował coś powiedzieć, czego nie mogłam zrozumieć.

Widząc trudność rozmowy, w której ja tylko mogę mówić, wpadłam nagle na pomysł, umożliwiający również kalece wyrażanie myśli. Wyjąwszy z torebki mały notesik, napisałam w nim dużemi literami cały alfabet.

Janusz obserwował me ruchy z zaciekawieniem.

— Proszę: będę wskazywała ołówkiem litery, pan zaś zatrzyma mnie na tych, które mają tworzyć odpowiednie słowa. Teraz proszę mi podyktować co pan sobie życzy.

Wydawał się zadowolony z mego pomysłu. Zaczęłam więc, półgłosem wymawiając litery, wskazywać je ołówkiem: A, B, C, D itd. Za każdym razem, gdy mnie zatrzymywał, pisałam wskazaną literę i zaczynałam od początku.

Sposób ten, choć nieco powolny, okazał się dobry.

Po kilku chwilach zresztą, szło mi to prędko, gdyż wskazywałam ołówkiem tylko część liter, odgadując w połowie zaczęte słowa.

I wkrótce następujące zdanie ukazało się mym oczom: „Nie powinno być żadnych nieporozumień między nami, musi pani wiedzieć wszystko. Proszę zadawać mi pytania."

— Chciałby pan naprawdę? zawołałam. Nawet najbardziej niedyskretne?

— Tak!

— Doskonale. Proszę mi zatem powiedzieć, czy myliłam się przed chwilą, gdy miałam wrażenie, iż chodzi pan swobodniej w parku, z dala od oczu ludzkich.

— Nie, nie myliła się pani.

— A zatem pan przed wszystkimi ukrywa prawdę! Pan nie jest takim kaleką za jakiego chce pan uchodzić.

I wyrwawszy mi ołówek z ręki, gdyż zbyt powolnym zapewne wydał mu się ten sposób konwersacji, usiłował sam napisać odpowiedź.

Przyszło mu to z większą łatwością, niż przypuszczałam. Zdziwiłam się znowu niezmiernie, pismo jego bowiem było szybkie i czytelne, mimo iż od dłuższego już prawdopodobnie czasu nie pisał.

Podzieliłam się z nim tym spostrzeżeniem.

— Wszak umówiliśmy się, że pokażę się pani takim, jakim jestem w rzeczywistości, odpowiedział mi.

Byłam oszołomiona tym niewzruszonym maskowaniem się, w którym umiał aż dotąd wytrwać.

— Mógł więc pan porozumiewać się z Blanką w ten sam sposób, a pozbawił się pan tego dobrowolnie?

— Paraliż mój jest nieuleczalny, napisał mi w odpowiedzi. Moja biedna siostra wie o tym równie dobrze jak ja. Wyjaśnienie, iż uległem mu tylko częściowo i że umysł mój funkcjonuje normalnie, byłoby zbędnym okrucieństwem; Blanka cierpiałaby jeszcze więcej i ubolewałaby, tak jak pani, nad moim strasznym położeniem. Teraz jest ona przekonana, że ja nic nie rozumiem, nic nie odczuwam i ta psychiczna obojętność, którą mi przypisuje, czyni ją spokojniejszą. Jakkolwiek nędznym jest to jej szczęście i spokój, pragnę, aby je zachowała.

— Ależ to nadludzka abnegacja! Czyż można aż tak kochać siostrę?

— Ubóstwiam ją i czczę! Moja siostra zrezygnowała z wszystkiego: z ogniska domowego, z małżeństwa, z miłości, aby zamknąć się tu ze mną i mnie się wyłącznie poświęcić. To święta! Powinniśmy uszanować jej względny spokój, którym cieszy się teraz. Proszę mi przysięgnąć, że nigdy nie powtórzy pani jej tego wszystkiego, czego się pani dowiedziała o moim rzeczywistym stanie.

— Dałam panu słowo od pierwszej chwili, gdy zrozumiałam, że nie jest pan w rzeczywistości takim, za jakiego pan uchodzi!

— Dziękuję pani za to przyrzeczenie.

— Pomimo wszystko nie mogę uwierzyć, iż pan dobrowolnie zgadza się na to moralne odosobnienie: jakże pan może chcieć żyć zamurowany żywcem?

— Jednakże jest to dobrowolne zamurowanie.

— I ma pan zawsze tę wytrwałość, siła woli nigdy nie słabnie w panu?

— Mam!

— Czy pan jest pewien, że to poświęcenie jest absolutnie świadome?

— Świadome?!

— Tak. Proszę mi powiedzieć...

Zatrzymałam się. Drżałam ze wzruszenia, przejęta nieprawdopodobnymi wprost odpowiedziami mego towarzysza. A pytanie, które miałam mu zadać, było bardzo drażliwe.

— A zatem, proszę mi powiedzieć, czy mózg pana...

— Mój mózg?

— Czy mózg pana pracuje zawsze jednakowo?

— Nie rozumiem. Proszę o ścisłość.

— Pytam czy mózg jest niewzruszony? Czy pozostał w takim stanie w jakim był przed wypadkiem? Czy też są w nim pewne luki... zaburzenia...? Czy myśl czasem nie staje się błędna... nie może podążyć za logicznym biegiem, urywa się... ginie...

— Pani pyta mnie czy nie jestem chwilami obłąkany?

— Oh, niekoniecznie zaraz obłąkany — zaprotestowałam.

— Mniejsza o określenie w jakim stopniu! Pani podejrzewa zaburzenia, wyczerpanie mózgu?

— Pytam o to, ponieważ wydaje mi się monstrualnym, aby człowiek rozsądny postępował tak jak pan.

— Mogę panią zapewnić, iż mózg mój pozostał nienaruszony. Ciało moje jest całkowicie uszkodzone, lecz mózg na szczęście ocalał i wszystkie moje zmysły są w porządku, zapewniam panią.

— O Boże, czyż to możliwe? zawołałam, składając ręce, jak gdyby zwiastował mi jakieś nieszczęście.

On zaś mówił dalej, chcąc mnie całkowicie przekonać:

— Jeśli pani wątpi, proszę mnie znienacka zapytać o coś: czuję, iż mogę jeszcze obliczać najbardziej zawiłe zadania matematyczne, pisać jak najdłuższe memoriały, tłumaczyć w pięciu językach jakikolwiek tekst.

— A więc żadnych zaburzeń pamięciowych, jakiejś pustki, mgły?

— Nie.

— Ależ to okropne!

— Dlaczego?

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Tymczasem pani Herbert rozebrawszy się, zaczęła myśleć o obiedzie. Pierwszy swój krok skierowała do sąsiadki.

— Pani Kudlich — zawołała we drzwiach — czy pozwoliłaby pani swojej służącej pobiec dla mnie po mięso? Nie wiem, co zrobić, a tu już tak późno, a ja jeszcze nic nie mam do obiadu!

Twarz poczciwej kobiety rozjaśniła się i rzekła:

— Spodziewałam się tego i przygotowałam pani przepyszny obiad. Niech się pani o nic nie troszczy, za pół godziny będzie wszystko gotowe. Zamówiłam jeszcze ładny bukiet kwiatów do stołu, lody, kompot i tort. Niech pani tylko do stołu nakrywa, a jak coś z naczyń zabraknie, to pani z chęcią pożyczę!

— O jak to dobrze — zawołała Herbertowa wzruszona — jak pani mam za tyle dobroci i uczynności podziękować?

— To nic — broniła się pani Kudlich — jest to dla mnie zaszczytem i przyjemnością. Idę teraz przygotować resztę, a jak tylko młoda para wróci, to ja poślę zupę.

przekonaniu, że i mąż jej dobrze sobie podje.

Jedli, gawędząc wesoło i śmiejąc się w najlepsze.

Gdy już byli przy deserze, zjawił się Jan zapytaniem, czy pan jego czegoś nie potrzebuje.

Ida dowiedziawszy się, jak Jan Arnoldowi był pomocnym w wyszukaniu jej, nalała szklankę szampana i sama mu ją podała.

— Na zdrowie jaśnie panienki — zawołał służący wychylając szklankę i patrząc z podziwem na piękną narzeczoną swego pana.

— Ten dzień i dla ciebie będzie szczęśliwym, Janie — rzekł de Lorme — w nagrodę, żeś mi pomógł wyszukać moją narzeczoną, dostaniesz ode mnie 10.000 reńskich, skoro tylko moje weksle z Paryża przyjdą.

— Ależ panie Markizie, to doprawdy za wiele — zawołał Jan — za to bym sobie przecież majątek mógł kupić!

Markiz uśmiechnął się dobrotliwie.

— Kup sobie ładny majątek — rzekł życzliwie — i wybierz sobie jaką poczciwą dziewczynę za żonę! A nie zważaj na pieniądze, tylko wybieraj podług serca!

Janowi aż łzy się w oczach zakręciły. Wreszcie wynagrodził go los za tyle cierpień i ciosów — pomyślał. Nie mogąc zdobyć się na słowa, schylił się i w milczeniu ucałował najpierw rękę swego pana, a później drobną, zapracowaną rączkę Idy.

— Jaśnie panienko — rzekł wreszcie — jestem do zgonu oddanym sługą panienki i proszę tylko rozkazywać, a ja wszystko zrobię. Czy mam starego Haia zbić na kwaśne jabłko? Czy mam pani Hai powiedzieć wobec całego świata, jaka to podła i nędzna osoba? Teobald Hai jest chory, a choremu nic zrobić nie można, ale wszystko inne wykonam z rozkoszą!

— Nie, nie — zaprzeczyła Ida. — Ja sama muszę się z nimi porachować.

— Jak jaśnie panienka rozkaże — odparł Jan onieśmielony — ja myślałem tylko, że porządna porcja batów nie zaszkodziłaby staremu Haiowi, który zasłużył dobrze na wygarbowanie skóry.

Ale Ida kiwała przecząco głową. Była zanadto szlachetną, aby się tak małodusznie zemścić choćby na człowieku, który się z nią brutalnie obchodził.

Jan nie był wprawdzie tego samego zdania, ale musiał zastosować się do życzenia swej przyszłej pani. Gdy obchodził, polecił mu Markiz wyszukać najpiękniejszy powóz, jaki w Petersburgu był do wynajęcia, aby z obiema paniami móc wyjechać na spacer.

Po półgodzinnym szukaniu wrócił Jan tryumfująco porządnie wyglądającym, otwartym powozem.

W całym Petershagen zapanowało poruszenie, gdy zobaczono Idę i panią Herbert, które dotychczas igłą zarabiały na życie, jadące na spacer w eleganckim powozie i to w powszedni dzień!

Niektórzy dobrzy ludzie, życzliwie patrzeli na szczęście obu biednych kobiet, a większa część mieszkańców w Petershagen ginęła z zazdrości.

Ale markiza nie obchodziły gniewne spojrzenia matek mających córki na wydaniu. Kąpał się formalnie w morzu szczęcia i rozkoszy!

Markiz postanowił przyspieszyć ślub z Idą i w tym celu wybierał się do Wiednia, aby wymusić na Haiu pozwolenie na ich związek.

Wkrótce nowa powieść!!!

P. Maria Reutt zdobyła sobie odpowiednią opinię i zaufanie w szerokich masach naszych czytelników, toteż wiadomość, że znów będzie drukowana jej powieść zostanie zapewne przyjęta z pełnym zadowoleniem, jeżeli nie z entuzjazmem. Po pięknych, porywających powieściach, jak „Zemsta Cyganki", „Co zazdrość może", „Ktoś Ty?" itd., nowa powieść nosi tytuł:

„ANNA"

Akcja fascynująca, pełna największego dramatycznego napięcia!!!

Tematem są zawiłe drogi miłości, jej wzloty i opady przy dalekich odgłosach kul armatnich i rewolucyjnej wrzawy, tudzież głuchych, twardych odgłosach bojowych werbli, a w bezpośrednim zetknięciu z ponurymi lochami Czerezwyczajki. Wygórowane ambicje i zachłanność jednej strony, popchnęły ją do upodlenia i wtrąciły w nieszczęście — drugą. Szczęśliwy koniec wykazuje jasno, że dobroći szlachetna wspaniałomyślność zawsze zostaje wynagrodzona!

Pani Herbert pobiegła nakryć do stołu i zaśpiewała przytem wesoło.

Gdy de Lorme z Idą wrócili, zastali już stół świątecznie nakryty, z kwiatami i najlepszym serwisem pani Kudlich, której córka przyniosła natychmiast wazę ze zupą.

Dygnęła głęboko i przypatrywała się ciekawie spod oka Idzie i Markizowi.

Markiz poprowadził obie panie do stołu i wesoły nastrój zapanował w małym towarzystwie.

Obiad był wyśmienity. Każda potrawa z osobna była arcydziełem sztuki kulinarnej.

Pani Herbert zapakowała dla męża swego flaszkę wina i pudełko cygar i wsunąwszy je do kosza z obiadem, powierzyła ważną misję, zaniesienia córce pani Kudlich.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu jadła pani Herbert obiad z apetytem, w



Rozpoczęła się już wiosenna zaprawa sportowa. Na zdjęciu instruktorka w chwili pokazu rzutu dyskiem.

Przedsięwziął sobie użyć ostrej broni, do walki z Halem i nie wątpił ani na chwilę, że mu się uda pokonać go.

Myśląc nad tym zasnął i miał cudowny sen. W śnie tym widział Idę już jako swą kochaną, uwielbianą żonę z cudowną dziewczynką, na ręku i niemniej ładnym chłopczykiem, który zupełnie do niego samego był podobny i opierał się o jej kolana.

ROZDZIAŁ CCLXXXII.

Zbliżanie się do celu po śladach krwi.

Podczas gdy Sylwia pracowała odważnie i dzielnie dla swego narzeczonego, Werner spędzał czas w swym więzieniu.

Alojzy podejrzewał hrabiego o zaloty do Ilony i mszcząc się za to na nim, dawał mu jak najgorszy i najszczuplejzy wikt i dręczył go jak tylko mógł.

Nieszczęśliwy więzień był zanadto dumny, aby zaprzeczyć kłamstwom Ilony, a z drugiej strony wiedząc, jaki Alojzy zaślepiony w swej pięknej opalonej diablicy był przekonany, że mu nie uwierzy i że szkoda każdego słowa. Dlatego znosił wszystko w milczeniu i zacisnął usta.

— Widzisz Alojzy, hrabia czuje się winny — rzekła pewnego dnia Ilona do kasztelana tryumfująco, że ani jednego słowa na swoje uniewinnienie znaleźć nie może! Złe sumienie z oczu mu patrzy!

— Moja słodka dziewczynko — zawołał Alojzy — gdy pomyślę, że on cię chciał posiąść, to mógłbym go z zimną krwią zamordować. Nie, ty musisz być moją! Dlaczegoś taka nieprzystępna? Zgodziłaś się już przecież, za mnie wyjść. Chodźmy więc do Petershagen i dajmy na zapowiedzi.

— Ależ tak nie można, Alojzy — odparła chytra Ilona — wiesz przecież, że księża wymagają papierów i wykazów a ja nic takiego nie mam.

Alojzy zamyślił się głęboko i wreszcie rzekł:

— Są mądrzy ludzie, którzy na wszystko mają radę! Już ja się o papiery dla ciebie wystaram!

— A potem muszę jeszcze mieć pozwolenie mego dziadka — wtrąciła Ilona — a wątpię bardzo, czy mi go „silny Marek" udzieli.

— Czy ty myślisz, że ja będę czekał z weselem na śmierć twego dziadka? — oburzył się kasztelan — moglibyśmy we dwoje posiwieć do tego czasu. Nie, ja nie myślę dłużej czekać! Dziś jeszcze jadę do Wiednia, o wszystko się postaram, a najdalej za cztery tygodnie musi być nasze wesele!

— Czy znasz kogoś, kto by te potrzebne papiery mógł sporządzić? — zapytała Ilona zaniepokojona, bo jej te widoki zostania wkrótce kasztelanową, wcale się nie podobały.

— Ja nie znam — odparł Alojzy — ale o to już się baron Sturmfeder musi postarać, bo on lepiej Wiedeń zna ode mnie.

— On na pewno będzie starał się o twoje interesy — zawołała Ilona niedowierzająco — jak mu się będziesz naprzykrzał, to cię wyrzuci za drzwi!

— Niech się tylko odważy — syknął kasztelan — biada mu, jeśli choć na chwilę zapomni, że jest w mojej mocy! Żałowałby tego gorzko, gdyby tak przeciwko mnie wystąpił.

— Cóż byś w takim razie począł! — zapytała cyganka ciekawie.

— O, to krótka sprawa — rzekł kasztelan z zaciętą miną — jeżeli się baron tylko odważy źle sobie ze mną postąpić, to wypuszczę swego więźnia, a baron Sturmfeder może sobie uciekać dokąd chce, bo czeka go ciężkie, wieloletnie więzienie!

Ilona zbladła jak ściana i zaczęła drżeć na całym ciele.

Wiedziała ona, że Alojzy był w stanie groźbę tę wykonać, gdyby się z nim baron szorstko obszedł, a to było więcej niż prawdopodobne. A jeżeliby Alojzy dla pomszczenia się na baronie, wypuścił hrabiego Wernera na wolność, to wszystkie dumne jej sny i plany rozwiałyby się w nic. Hrabia Wildenstein wystąpiłby z pewnością ze skargą przeciwko niej, a współplemieńcy jej nietylko, że nie ujęliby się za nią, ale przeciwnie, jeszcze by ją zasypywali przekleństwami i złorzeczeniami.

Czekałoby ją ciemne więzienie. Ona, wolna, nieokiełzana córka natury miałaby spędzać lata całe w ciemnych murach więzienia; a co potem? Smutne, nędzne, żebracze życie, przekleństwa, znoszenie pogardy, chłodu, głodu i upału!

Tak miałaby skończyć ona, najpiękniejszy kwiat swego plemienia? Cyganka wzdrygnęła się na tę myśl. Nie, do tego nie może dojść — szepnęła — raczej wszystko inne!

Przytuliła się czule do Alojzego i złożyła gorące swe usta na jego ustach.

— Nie odchodź dzisiaj — szepnęła mu z zawstydzoną minką — kto wie jak długo będziesz musiał zabawić we Wiedniu, a jesteś dopiero tak krótko we Felseg. Tu tak pusto i smutno bez ciebie, mój kochany skarbie!

Zaczęła go znów pieścić i całować, a Alojzy tak był tym upojony, że zapomniał o Wiedniu i całując i ściskając ją, zapewniał, że dla niej by do piekła poszedł i gwiazdy z nieba ściągnął.

— Nie tego nawet nie żądam — zaśmiała się cyganka — chcę tylko abyś tu kilka dni został i abym ja spokojnie mogła pójść raz do wsi po sprawunki, które mi są bardzo potrzebne.

— Jak długo chcesz, abym tu z tobą został kochanie? — zapytał Alojzy czule.

— Najchętniejbym chciała, abyś wcale nie odchodził — schlebiała cyganka — ale jeżeli to już być musi, to zostań przynajmniej 3 dni przy mnie!

Kasztelan zaczął ją na nowo pieścić i całować, ale ona wywinęła mu się tym razem zgrabnie i odskoczywszy o kilka kroków, zawołała:

— Muszę iść do wsi, bo ty przecież nie masz już ani jednego guzika przy surducie! Jeżeli mam zostać twoją żoną, to się zawczasu muszę zacząć starać o to, abyś porządnie wyglądał!

Rzuciła mu zgrabnie całuska na pożegnanie i znikła u skrętu.

Alojzy promieniał szczęściem. Wyjąwszy flaszkę z wódką, wychylił ją do połowy; porcja która by innego była z nóg powaliła, jego tylko przyjemnie podnieciła.

Podczas gdy się kasztelan oddawał przyjemnym marzeniom o miłości i szczęściu Ilona uwijała się po dolinie, szukając na najsłoneczniejszych miejscach tych ziół, które tylko w słońcu się rozwijają.

Znalazłszy wreszcie roślinę, której szukała, uklękła i zaczęła ją z korzonkami wykopywać. Wyrwawszy tyle z tego gatunku, ile tu dostać mogła, oglądnęła się trwożnie dokoła i odetchnęła lżej, gdy zobaczyła, że nikogo w pobliżu nie ma.

Potem pobiegła z tym pospiesznie do opuszczonej chatki cygańskiej, gdzie najpierw potarła owe zioła dwoma ciężkimi kamieniami, następnie wycisnęła z nich sok przez chusteczkę do flaszeczki, którą wyjęła z kieszeni i obmywszy starannie ręce w sąsiednim strumyku, pobiegła prędko do wsi.

Tam wstąpiła do sklepiku dla załatwienia małych sprawunków i wróciła do Felseg z najniewinniejszą miną w świecie.

— Tak długo bawiłaś, kochanie — przywitał ją Alojzy — obawiałem się już o ciebie!

— Ależ tobie tylko się to tak długo wydawało — perswadowała Ilona — dawaj prędko surdut, niech przyszyję guziki!

— Najpierw daj buziaka — nalegał Alojzy.

— Jutro! — obiecywała Cyganka — dziś już ani jednego nie dostaniesz. Nie trze-

ba mężczyzn zanadto psuć, bo się rozzuchwalają!

— Czekaj, czekaj! — odgrażał się kasztelan — jak będziesz moją żoną, to będziesz musiała być posłuszną!

— Pewnie, że będę musiała — odparła Cyganka i zaczęła rozmawiać wesoło, o rzeczach, o których wiedziała, że kasztelana zainteresują.

— Co myślisz o tym, Ilono — zapytał kasztelan — gdyby baronowi wypłatać takiego figla, żeby najpierw u niego wydusić największą możliwą sumę, a później wypuścić hrabiego na wolność! O, to by był wyborny żart, gdyby on tak odrazu stracił cały majątek, który sobie nieprawnie przywłaszczył!

Oczy Cyganki zabłysły złowrogo, a słowa Alojzego zagłuszyły w niej ostatnią resztę ludzkiego uczucia.

W jej oczach był kasztelan z tą swoją sporadycznie występującą litością dla hrabiego, tylko nędznym tchórzem. Jeżeli się przedtem jeszcze wahała otruć Alojzego, to teraz znikł i ten ostatek skrupułów.

Alojzy musiał zejść z tego świata.

Stał jej na zawadzie pod wielu względami, musiała więc usunąć go ze swej drogi. Demoniczna natura Cyganki wystąpiła tu z całą swą bezwzględnością. Każdej innej dziewczynie, byłoby drogie życie człowieka, którego gorące pocałunki jeszcze na ustach swych czuła. Ilona jednak kroczyła konsekwentnie do celu, choćby droga do niego miała prowadzić przez trupy.

Ilona sporządzała wieczerzę tak spokojnie, że nikt by nie mógł przeczuć jej czarnych myśli. Po wieczerzy jednak znikła bez śladu i Alojzy nigdzie jej znaleźć nie mógł.

Dopiero nazajutrz rano, gdy śniadanie już było gotowe, zjawiła się piękna djablica z uśmiechem na ustach w pokoju kasztelana i zapytała:

— No, Alojzy, czy ci się dobrze spało, mój skarbie?

— Całą noc o tobie śniłem — odparł Alojzy, patrząc na nią czule.

— A jak ci się śniłam? — spytała znów Cyganka ciekawie.

— Był to dziwny sen — odparł kasztelan smutno — śniło mi się, że leżałem na trawie nieruchomy i zdrętwiały, a jakieś stworzenie, które zupełnie miało twoją twarz, pochylone było nade mną i ssało mi krew z serca. Czułem, jak moje siły wciąż słabną, a nie mogłem się ruszyć i bronić. Było to okropne uczucie. Ach, Ilono, to musi być straszne umrzeć w kwiecie wieku!

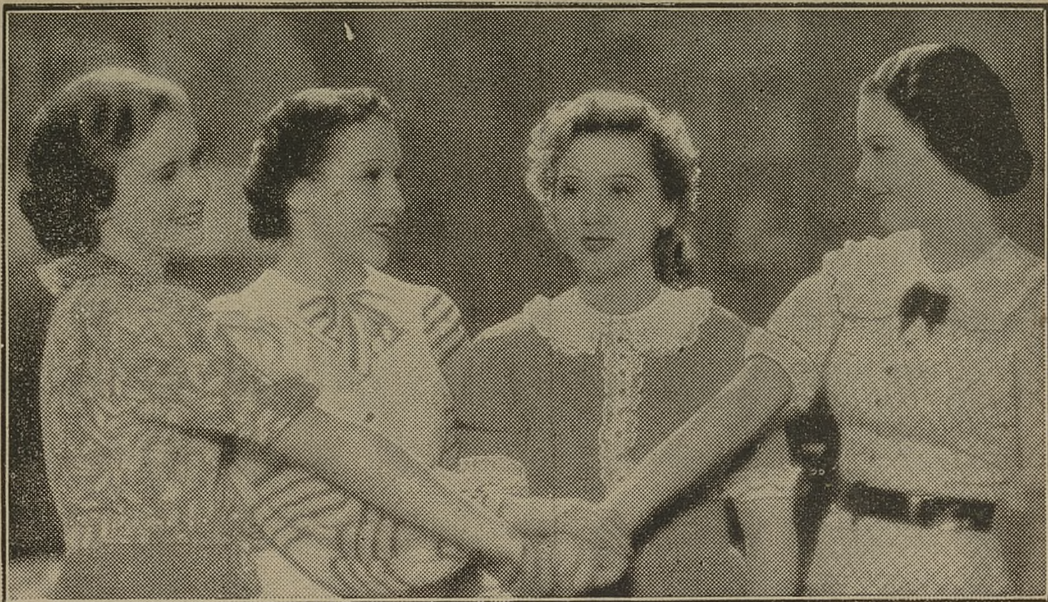
— Pewnie — rzekła Ilona obojętnie — ale teraz chodźmy na śniadanie. Czy hrabia już dostał swoją kawę, Alojzy?

— On może czekać i nie umrze zaraz jeśli jeść nie dostanie — rzekł Alojzy ponuro — ale powiedz mi prawdę dziewczyno, czy ty mnie nie zwodzisz?

— Co za głupie wątpliwości! — zawołała Cyganka rozgniewana.

Kasztelan zaśmiał się smutno i rzekł poważnie:

— Kobietom nigdy nie można wierzyć! Wiesz, gdym się dziś w nocy z tego strasznego snu obudził, trwało bardzo długo nim się uspokoiłem, ale zasnąć już nie mogłem. Gdym tak bezsennie leżał, nachodziły mnie różne przykre myśli i wątpliwości. Myślałem nad tym, że nie jestem ładny i że taka piękna dziewczyna jak ty Ilono, nie może mnie pokochać. Potem znów myślałem, że może twoje serce jeszcze wcale nie wie, co to jest miłość i jak strasznym to by było, gdybyś została moją żoną, a potem kogo innego pokochała! Gdyby ci pieszczoty moje były znienawidzone, gdybyś mnie uważała za przeszkodę twojego szczęścia!



Cztery urocze wykonawczynie nowego filmu wytwórni Bolvary p. t. „Niespokojne dziewczęta"

— Oj, ty głupiutki — zaśmiała się Ilona, ale śmiech jej miał coś wymuszonego i nie uszedł uwadze kasztelana.

— Twoja wesołość nie pochodzi z serca — rzekł.

— Co ty dziś masz za przywidzenia — odparła Ilona — przestań z tą głupią gadaniną, jak mnie nie chcesz rozzłościć! Gdybym cię nie kochała, to bym ci nie przyrzekła, że zostanę twoją żoną. Twoje podejrzenia są dla mnie obrażające.

— Wybacz, kochanie — rzekł Alojzy, i chciał Ilonę objąć i do siebie przycisnąć, ale ona udała obrażoną i wywinęła mu się z zachmurzoną miną.

Opuściła pokój i wyszła do ogrodu, a zmartwiony Alojzy wyszedł za nią i zaczął ją przepraszać i zaklinać, aby się więcej na niego nie gniewała.

Długi czas nie słuchała go wreszcie dała się pozornie ubłagać i popatrzywszy uprzejmie na Alojzego, rzekła z uśmiechem:

— Wiesz co, może doprawdy lepiej będzie, jak się postarasz o potrzebne papiery i jak się pobierzemy, może wtedy stracisz swoje brzydkie podejrzenia!

Alojzy podskoczył z radości i uścisnął Ilonę.

— Zaraz dzisiaj jadę do Wiednia — zawołał uszczęśliwiony.

— I ja odprowadzę cię kawałek — obiecała Ilona — ale pierwej przygotuję ci coś do jedzenia na drogę. Podróż jest długa, i będziesz głodny, a w restauracjach bardzo drogo.

Oczy Alojzego zajaśniały szczęściem, słysząc troskliwe słowa Ilony. Wszedł za nią do mieszkania i przypatrywał się jej krzątaniu.

— Czy masz jeszcze wódkę na drogę? — spytała Ilona troskliwie.

— Oto jest jeszcze pełna flaszka — rzekł Alojzy — zobacz!

— Dobrze — odpowiedziała Ilona — ale musisz mi przyrzec, że ją sam wypijesz i nikogo nie będziesz częstował. Ty masz taki brzydki zwyczaj, że każdemu dajesz ze swej flaszki pić, a to jest takie niebezpieczne i można się nie wiem jakiej słabości tym nabawić. Rachela opowiadała mi, że jeden z Cyganów zobaczył raz na pół zmarzniętego żebraka i aby go ocucić, dał mu się napić ze swojej flaszki, z której później sam pił i wkrótce z tego umarł. Żebrak miał bowiem raka na języku, a Cygan się zaraził. Jest to dla mnie nauką, i ja nigdy z jednego naczynia z kimś obcym nie piję. Przysięgnij mi Alojzy, że i ty nikomu nie dasz pić ze swej filiżanki!

— Jakaś ty dobra — rzekł kasztelan wzruszony — przyrzekam ci święcie, że tego nie uczynię, jeśli mi dasz całusa!

Cyganka dała mu swe purpurowe usta i rzekła:

— Wiesz co Alojzy? Nim odjedziesz, zaopatrz hrabiego na kilka dni w wodę i prowiant, bo ja wolę nie mieć z nim nic do czynienia.

— Powiem mu to! — odpowiedział Alojzy tryumfująco — a hrabia niemało będzie się tym martwił, gdy się dowie, że ja jestem szczęśliwszym od niego rywalem!

Zaśmiał się głośno i napełniwszy kosz prowiantem i wsadziwszy do niego dzban ze świeżą wodą, wyjął drabinę i zszedł do podziemia.

Ilona wysłała go tylko po to by swój zbrodniczy plan wykonać. Przekonawszy się, że Alojzego nie ma już w korytarzu, wyciągnęła prędko z kieszeni flaszeczkę z płynem ziołowym, który onegdaj sama sporządziła i wlała go do flaszeczki z wódką, którą narzeczony jej, miał wziąć na drogę. Potem postawiła flaszkę na miejsce, z którego ją wzięła i wsunęła się na palcach do ostatniego pokoju, aby podsłuchać rozmowę kasztelana z hrabią w podziemiu.

— Panie hrabio — usłyszała głos Alojzego — muszę panu donieść przyjemną nowinę. Za kilka tygodni odbędzie się ślub mój z Iloną.

— Gratuluję! — odparł hrabia, a w duchu żałował go szczerze, że dostanie się w ręce tego demona.

Kasztelan pojął fałszywie tę krótką gratulację hrabiego. Przypuszczał, że mu hrabia Werner zazdrościć będzie sukcesu, i gdy go tym bardziej uzłości, zaczął się chwalić miłością, jaką mu Ilona okazuje.



Król Jerzy zwiedził zakłady samochodowe w Coventry, jadąc samochodem swego dziadka z roku 1899.

Nie omieszkał też zrobić aluzji do wielkich panów, którzy mu narzeczoną jego odmówić chcieli, ale hrabia zanadto był dumny ,aby choć słowem na te głupie podejrzenia odpowiedzieć.

Z tryumfującą miną wyszedł kasztelan z podziemia, a Ilona, słysząc pierwszy jego krok na drabinie, uciekła niespostrzeżenie z kąta, w którym podsłuchiwała.

— Ale mu nagadałem — rzekł Alojzy do Ilony, i nie mając pojęcia, że ona podsłuchiwała, powtórzył jej wszystko.

Cyganka udała, że jest bardzo zachwycona, ale po chwili zaczęła go naglić do pospiechu mówiąc, że spóźni się do pociągu, jeżeli natychmiast nie opuści domu.

— Nie bierz dużo pieniędzy z sobą — ostrzegała go — bo cię mogą w drodze okraść. Wreszcie nie miałoby też celu, bo przecież baron Sturmfeder musi ci dać tyle, ile tylko od niego zażądasz i powinien ci jeszcze być wdzięczny, że mu koszuli z ciała nie ściągasz. Jesteś zanadto skromny. Inny na twoim miejscu byłby majątek od niego wyciągnął, a ty pewnie razem nawet 10.000 reńskich nie dostałeś!

— Nie, nie będzie jeszcze tyle razem — przyznał się Alojzy wahająco.

— Ten sknera — łajała Cyganka, a potem zaczęła nalegać na Alojzego. — Powiedz mi szczerą prawdę, ile on ci dał, wszystkiego?

— Sześć tysięcy reńskich — przyznał się Alojzy zawstydzony.

— I taką psią zapłatą zadowoliłeś się? — oburzyła się Ilona. Czy to jest dla ciebie odpowiednie wynagrodzenie?

— No, tak mało to znów nie jest! — bronił się kasztelan — za to można dużo ładnych rzeczy dostać!

— A czy już dużo ładnych rzeczy kupiłeś? — badała Cyganka.

— Co miałem kupować? — zapytał kasztelan. — Ot, parę reńskich z tego wydałem, a resztę schowałem.

— Czy masz te pieniądze przy sobie? — spytała znów Cyganka.

— Mam je zakopane — odparł kasztelan.

— Co za nieostrożność — ganiła Ilona — przecież ci je może byle kto ukraść!

— Nie, tam gdzie ja je zakopałem, tam nikomu nie przyjdzie na myśl szukać — rzekł kasztelan, z pewnością siebie w głosie. Widząc zaś pożądliwy wzrok Cyganki, dodał:

— Chciałabyś pewnie wiedzieć, gdzie jest to miejsce, ale dowiesz się o tym dopiero wtedy, jak będziesz moją żoną. Teraz zaś, powiedz co chcesz, abym ci z Wiednia przywiózł?

Ilona zaczęła narzeczonemu swemu tak prędko wyliczać wszystkie swe życzenia, a było ich tyle, że Alojzy rzekł zakłopotany:

— Ależ, kochanie moje, ja tego wszystkiego nie spamiętam. Czy nie mogłabyś sobie te rzeczy sama u Lichtblaua kupić i wybrać według swego gustu?...

— Tak, mogłabym kupić, jakbym miała pieniądze, odparła Ilona — ale ja ani centa przy duszy nie posiadam.

Kasztelan zaczął szperać po swoich kieszeniach, ale zobaczywszy, że ma mało, rzekł:

— Nie mogę ci z tego nic zostawić, bo po kupieniu biletu zostaną mi ledwo 2 reńskie ,a ja we Wiedniu nie znam ani żywej duszy i nie mogę wiedzieć, czy barona na pewno w domu zastanę!

— A gdy mi tu co potrzeba będzie? — żaliła się Ilona — nie mogę przecież tak całkiem bez centa zostać na tej pustyni!

— Właśnie, tu ci nie będzie potrzeba ani szeląga — tłumaczył kasztelan — prowiantu masz dość, a zresztą, nie masz tu nawet sposobności wydawania pieniędzy.

— Muszę sobie przecież przygotować suknię ślubną — odparła Cyganka obrażona — czy myślisz, że ja w tej starej wyszarzałej szmacie do ołtarza pójdę? Wolałabym w takim razie wcale nie wychodzić za mąż. Nie spodziewałam się, że mi nowej sukni nie kupisz. Rację mieli ludzie, że z ciebie taki skąpiec i sknera. Nie chciałam im wierzyć, lecz teraz sama się przekonałam. Dobry z ciebie mąż będzie, kiedy już przed weselem taki niedobry dla mnie jesteś!

Zaczęła szlochać i ocierać łzy końcem brudnego fartuszka.

— Ależ kochana moja, nie płacz — błagał ją Alojzy — nie masz czego szlochać, bo jak wrócę, to będę miał tyle pieniędzy, że będziesz sobie mogła za nie kupić cały sklep Lichtblaua.

— Muszę przecież suknię kazać uszyć — lamentowała Ilona, nie dając się uspokoić. Odtrąciwszy rękę Alojzego, krzyknęła:

— Nie ruszaj mnie, bo ja cię więcej nie lubię. Gdybyś miał choć iskierkę uczucia dla mnie, to nie odmówiłbyś mi takiego małego życzenia. Z twojej winy straciłam cały swój ciężko zapracowany majątek i do tego jeszcze dajesz mi odczuć, że ci nie wnoszę posagu. To będzie ładne małżeństwo! O, ja nieszczęśliwa! Dobrze tylko, żeśmy jeszcze nie po ślubie, i że ja jeszcze odstąpić mogę. Po co bym się miała wziąć z takim niegodziwcem, co najmniejszej ofiary dla mnie nie chce ponieść!

— Ależ moje serce, jak możesz tak mówić? — mitygował ją Alojzy. — Wiesz przecież, że zrobiłbym dla ciebie wszystko, co jest tylko w mojej mocy.

— To tylko próżne gadanie — przerwała mu Cyganka gniewnie — widzę, jak mnie kochasz; zostawisz mnie bez centa, mając zakopanych sześć tysięcy reńskich. Schowaj sobie swoje nędzne pieniądze w imię Boga, ale nie potrzebujesz już więcej do Wiednia jechać, bo ja nie chcę być twoją żoną!

— Chyba żartujesz, Ilono — zawołał kasztelan zrozpaczony — nie wiedziałem, że ci na tym tak zależy. Zostań tylko kwadrans w kuchni, a ja się o pieniądze postaram. Ile ci teraz potrzeba, moja luba?

— Nic więcej od ciebie nie chcę — zawołała Cyganka rozsrożona — więc to jest podziękowanie za moją miłość i wierność? Za to, że dla ciebie odmówiłam hrabiemu?

— Jak jeszcze raz o nim wspomnisz, to go jak psa na miejscu zastrzelę — krzyknął kasztelan wściekły — a teraz bądź cicho, to ci sto reńskich przyniosę!

Pobiegł niezwłocznie ,a Ilona spuściła fartuszek, którym tarła oczy.

— Ile to kosztuje, by się dowiedzieć od niego gdzie skarb swój zakopał — mruknęła.

Potem wyszła przez okno i zobaczyła, że Alojzy wszedł do szopy, w której trzymał swoje narzędzia.

— Poszedł po łopatę do kopania — mruknęła.

Wkrótce zobaczyła go rzeczywiście wychodzącego z dużą łopatą i skradała się za nim ostrożnie i z daleka.

Zobaczyła, że Alojzy stanął przed jedną starą gruszą i zaczął kopać. Zapamiętawszy sobie dobrze miejsce, wróciła Ilona do zamku, a wkrótce przyszedł i Alojzy i chciał jej setkę położyć na podołek, ale Ilona podskoczyła, a banknot upadł na ziemię.

Alojzy podniósł go rozgniewany i rzekł szorstko:

— Słuchaj no ty, moja kochana, nie doprowadzaj mnie swoimi fochami do złości. Nie myślałem wcale źle, a w dowód tego daję ci całą setkę. Weź zaraz, bo inaczej się będę gniewał!

Ciąg dalszy na stronie 253.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

IDŹ SERCE...

P. Red. A. Ksyckiej — dedykuję.

Idź serce, idź
W daleki świat...
Idź serce żyć
Tysiącem spraw.

Spłyń ciszą, spłyń
W niedoli kraj...
Serdecznej krwi
Płynie tam łza.

Zbierz serce, zbierz
Rubinów skarb...
Przyjaźnią grzej,
Uśmiechem darz.

Przed grozą kar
Głęboko skryj...
Pogodę daj,
Ich szczęściem żyj.

Romicz.

CZYTAM I ODPOWIADAM

„Marzenka z Ameryki“. Odpisuję Ci, Droga Dziewczynko, na wszystkie listy równocześnie. Będę musiała odpowiadać zwięźle i krótko z uwagi na mnogość pytań, które mi zadałaś.

Na tę przypadłość żołądkową lekarz przepisał Ci dobrą kurację — Twoim zadaniem jest dokładne przestrzeganie diety i unikanie na przyszłość lekkomyślnego przeziębiania żołądka.

Nie zauważyłam, aby w polskim filmie występowali brzuchomówcy, a że w amerykańskim występują, to wiem.

Nie chcę, Kochanie, umieszczać swej fotografii w „Krainie“, a i Wujek Janusz ani chce słuchać o tym. Zresztą pamiętasz, sądzę, że było głosowanie i „Krainiacy“ nie chcący oglądania mej podobizny przegłosowali tych drugich.

Owszem, wiem, że Stokowski cieszy się wielkim powodzeniem w Ameryce, a my tu w Polsce zadowoleni jesteśmy z tego.

Czy znam grafologię? Niebardzo! Wprawdzie orientuję się nieco w charakterach pisam, ale to już z praktyki, z ustawicznego czytania listów, pisanych przez dzieiątki ymssypatyków i sympatyczek „Krainy“.

Słuchaj, nie uważam za potrzebne kupowanie przez Ciebie podręczników grafologii, ani tych innych wymienionych. Encyklopedię natomiast warto, abyś kupiła, o ile wiem, ilustrowana, nowoczesna w wydaniu Arcta w Warszawie kosztuje 45 zł. Czytaj nowoczesną beletrystykę pisarzy o ustalonym już nazwisku — podam Ci w liście autorów wartych poznania.

Fotografię Twoją dam do „Krainy“ — chociaż przyznam się, że wolałabym inną. Chętnie poczekam na transport przyobiecanych zdjęć.

Prenumeratę masz opłaconą do 15 lutego włącznie. 1 dolar na prenum. I. K. P. nie wpłynął do naszej administracji.

Cieszy mnie, że zaimponowałaś swoim amerykańskim znajomym robótkami filet. Mam wrażenie, że jakaś zręczna i przedsiębiorcza pracownia mogłaby zrobić majątek na tych robótkach, skoro podobają się one tak bardzo mieszkańcom Sionx-City i skoro nie ma tam absolutnie żadnej w tym dziale konkurencji.

Autor noweli „Szczęście Marysi“ nie jest „Krainiakiem“.

Znam tę pieśń, która Cię tak bardzo zaintrygowała, że nie powiem zachwyciła — jest to przebr miały już przebój. Ponieważ chodzi Ci o jego tekst, więc postaram się o niego i prześlę Ci wraz ze spisem tych książek, o który mnie prosiłaś.

Owszem ilustracje w „M. Powieściach“ zamieszczam dosłownie z całego świata, a abonentów mamy też z różnych krajów.

Zadowolona jestem, że pilnie słuchasz audycyj nadawanych po polsku.

Nie, „Marzenko“ — „Młody Orzeł“ nie mógł być jeszcze samolotem w Ameryce, ponieważ na razie latał tylko na szybowcu, a czy uczy się również języka angielskiego — nie wiem, lecz tak myślę, że sam Ci na to pytanie odpowie, zwłaszcza, że zleciłaś mi zaapelować do niego, aby nawiązał z Tobą korespondencję, co niniejszym uskuteczniam.

Zawiadamiam am równocześnie „Krainiaków“, że pragniesz korespondować z kimś, który włada również językiem angielskim.

Refleksje Twoje na temat mego artykułu z „Raju kobiet“ są słuszne i każą zastanowić się głębiej nad faktem Twego wgłębiania się w treść tego wszystkiego, co czytasz.

Komunikaty wypisujesz zbyt długie, dlatego posłałam je na adresy, a zamieszczam tylko te krótkie i ogólne pozdrowienia.

Już wkrótce postaram się napisać długi list do Ciebie, a na razie całuję serdecznie i życzę dużo pomyślności Małej Dziewczynce, zgubionej zaoceanem.

„Halo! „Zapomniana Syleno“ — dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je w całej pełni.

Również serdeczne pozdrowienia zasyłam dla M. G., C., W. i H. No, a może jednak raz dojedziesz tym motocyklem do Ameryki? Napisz — proszę Cię bardzo!

Serdeczności dla „Czarnookiej Wandy“!

Moje pełne i szczere uznanie dla pięknych wierszyków wyrażam p. p.: J. Baranowskiemu, J. F. Płóciennikowi, M. Zemmlerównie oraz A. Czekalskiemu i zasyłam im pozdrowienia. Czy mógłby ktoś z nich i mnie króciuteńki wierszyk poświęcić?

Z serca płynące pozdrowienia dla całej „Krainy“!!!



Miłym uśmiechem pozdrawia nas jedna z serdecznych członkiń „Rodzinki“ — „Rozśpiewana Izabella.“

WAŻNE DLA MNIE

„Czar dziejka“. Mam tu Twój list jeszcze... oj od dawna! Piszesz mi w nim tyle miłych mi zdań! W jednym mówisz, że czujesz się szczęśliwa z przynależności do „Rodzinki“, w drugim, że pragniesz, abym Cię mocno, mocno pokochała i w tym sensie mówisz długo. Dla mnie ważne jest każde poszczególne zdanie, lecz nierównie ważniejsza jest całość, z której wynika bezspornie, że udało mi się dzieło pokierowania Twoim życiem wewnętrznym. I wiersz mi, że niesłychanie mnie to cieszy!

Zawsze bądź, proszę, tak pogodną i tak zadowoloną, a będę i ja zadowolona.

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty: „Samotną Włościankę“, „Sarenkę“, „Smutną Iwonkę“ i „Ziuteńkę“ — pozdrawiam bardzo serdecznie.

MAM NADZIEJĘ!

„Luluś“. Droga Moja! Bolesne dla mnie jest to Twoje zmartwienie, o którym pisałaś. Myślę, że dobrze by było, gdybyś mogła uzyskać jakąś pracę — usamodzielniłabyś się i powoli zebrała może jakiś fundusik potrzebny na zagospodarowanie się w swoim własnym domu. Wyprawę zresztą powinni dać Pani rodzice.

Tak sobie myślę, że na pewno już wszystko do tej pory się ułagodziło — czy nie jest tak? Pragnę tego gorąco, bo wierz mi, że niesłychanie przykrą jest dla mnie świadomość Twej krzywdy.

Staraj się proszę załagodzić jakoś to nieporozumienie między Rodzicami, to nie może być, aby po tylu latach zgody teraz nagle powstało tyle punktów spornych między nimi! Należy użyć perswazji, poprzeć ją rozumnymi argumentami i za wszelką cenę pogodzić.

A skoro między ojcem i matką Pani powstanie znowu harmonia, to i o Twoim losie, sądzę, pomyślą poważniej. Wówczas wyjdź za mąż bez długiego zwlekania, bo wiek masz po temu. Jak jeszcze poczekasz parę lat, możesz stracić konkurentów. Nie chciałabym, żebyś żyła w domu ojca do starości, bo jakby nie było, zawsze zajdą w domu takie, czy inne scysje i zawsze możesz usłyszeć przykrą wymówkę, że jesteś ciężarem. Nie chcę tego dla Ciebie, bo wiem, że jesteś wrażliwa i zbyt Cię te rzeczy męczą.

A czy Twój narzeczony nie może się z Tobą pobrać bez posagu? Jeżeli tak, to zdecyduj się bezwzględnie na to małżeństwo — Rodzice później na pewno dadzą Ci należną Ci część.

Pisałaś, że chętnie chciałabyś ze mną porozmawiać — otóż rozumiem Cię i wiem, że ulgę sprawiłoby Ci użalenie się przede mną, przyjedź zatem, chętnie pomówię z Tobą i może uda mi się dać Ci dobrą radę. Zastaniesz mnie zawsze w godzinach urzędowych w redakcji, pokój nr. 3. Tylko w sobotę pracuję krócej, to znaczy do drugiej po południu.

Wierszyka, niestety, nie mogę zamieścić — zbyt słaby. Jeżeli czujesz potrzebę wypowiadania się w wierszu, to pisz — na pewno dalsze będą lepsze. Pierwszy jest zazwyczaj nieudany. Poezja, to sztuka trudna i wręcz nieosiągalna dla nieutalentowanych w tym kierunku.

Napisz mi już szybko, czy nic się nie zmieniło na lepsze i proszę nie przejmuj się tak mocno. Mam tę niepłonną nadzieję, że wszystko się znowu ułoży i będzie dobrze.

Całuję Cię serdecznie i proszę pisz!

ODWZAJEMNIAM POZDROWIENIA

„Henry“. Listy przesłałam. Pozdrowienia serdecznie odwzajemniam. Nowele Pana oddam do druku, po uprzedniej poprawce.

ZLECIŁAM ADMINISTRACJI

„Alpejski Fiołek“. Dosłanie Ci numeru, o który prosiłaś, zleciłam naszej administracji — mam nadzieję, iż już go otrzymałaś.

Za pozdrowienia dziękuję Ci pięknie i zasyłam moc ciepłych uśmiechów!

PRZYJDŹ

W godzinie m r eń,
w ciszy wieczornej,
bądź pozdrowiona
miłości!
Z powodzi zdarzeń,
w ciszy nieszpornej,
ty wymarzona
z nicości —
przyjdź!
Dłoń swoją małą
połóż na oczach,
Niechaj cię całą
sny me otoczą,
sny tęczobarwne,
sny tęczopiórę...
A wtedy
pieśń we mnie chórem
rozebrzmi,
aż cisza zadrży,
echem odpowie —
tobie —
dalekiej, mojej miłości...
I sen się ziści.
Więc przyjdź, przyjdź,
ty wymarzona,
ty wytęskniona...
z nicości...

Adam Czekalski.

IDZIESZ...

Idziesz przez życie w rozśpiewie słonecznym
młoda i pełna złud,
idziesz przez życie szlakiem odwiecznym,
czujesz miłości głód.
Błyszczy przed tobą ów świat z korali,
z tęczowych blasków tkan,
zwiduje ci się w zamglonej dali
cudnego życia łan.
I roją ci się marzenia jasne:
miłości bujnej żar,
zwidują ci się sny szczęścia krasne
i czujesz krwi swej war.
Cóż ci mam tedy, dziewczynko, życzyć,
cóż ci mam na to rzec?
To jedno chyba: na nic nie liczyć
i wszystko posiąść chcieć.

Adam Czekalski.

ZAPEWNIAM

„Kresowiak z Leszna“. Pisał Pan, że żal Twój po tych Pana „dziełach“ jest o tyle głęboki, że Pan nie wie, co się z nimi stało, że — inaczej mówiąc — brak Panu formalnego zawiadomienia o ich przyjęciu lub nie. Otóż zapewniam Pana, że te „dzieła“ zostały potraktowane jak najbardziej formalnie — otrzymał Pan już, sądzę, listowną odpowiedź, dotyczącą humoreski, natomiast wierszyk oddałam Wujkowi Januszowi do teczki. Zmysł humoru i dowcip ma Pan rzeczywiście rozwinięty, co wykazała mi nie tyle ta humoreska, ile ostatni Twój list. Mogę z przyjemnością zaznaczyć, że okazał się Pan w nim bardzo ujmującym i ogromnie miłym chłopcem.

Co zaś do twórczości Pana, stwierdzam, że masz zacięcie literackie, ale należało by dużo jeszcze poracować nad stylem i formą, a także pamiętać o tym, aby temat utworku był zawsze ciekawy i niebanalny.

Proszę przysyłać mi i w przyszłości swoje nowelki, jeżeli będą dobre, zamieszczę!

A teraz pozdrawiam serdecznie i przechodzę do komunikatów:

Wszystkim współpracownikom literackim „Krainy“ ślę słowa uznania i proszę o nawiązanie łączności!

„Orlicy“ w dowód wdzięczności za jej słowa zainteresowania i zachęty poświęcam na razie jeden swój wierszyk, który mam nadzieję, ukaże się w „Krainie“.

ZGODA?

„Eros“. Wiesz, Bratańcu Miły, na który list odpowiadam Ci w tej chwili? Na ten z grudnia, w którym wykłócasz się ze mną, jak zwykle, o sprawy drobne, choć niebłahe.

Już Ci i dziś daruję Twoje wymowności i ponieważ mało mam czasu, a jeszcze mniej miejsca — pozwolę sobie powiedzieć Ci „bywaj!“, zaznaczając oczywiście, że niedługo napiszę obszerniej. Zgoda?

„Przedwiośnie“ — dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je. Dlaczego zabłysłaś, jak meteor i zgasłaś?

„Zofi“ — przykro mi, że naraziłem Cię na kłopoty i... wybacz! Poprawię się i pozdrawiam Cię serdecznie.

Wszystkim „Krainiakom“ i „Krainiankom“ serdeczne pozdrowienia!

POWIEDZ!

„Zbijobruk poznański“. Wiesz, na który list Ci dziś odpisuję? Na ten, w którym pisałaś o szczęśliwym złożeniu jednego z ostatnich egzaminów. Dziecko drogie! Ja cieszę się z tego razem z Tobą — powiedz mi, ile masz lat, Ty ważna osobo?!

Czy wolno i Tobie za przykładem „Erosa“ nazywać mnie „Ciotunią“.

Naturalnie, że wolno — nie mam żadnych contra.

Życzę Ci szczęścia i pomyślnego zakończenia ostatniego egzaminu i proszę o dalszą pamięć. Jeszcze Twoje komunikaty:

„Marzący Sfinksie“ — czemu zamilkłeś?

„Taki - Jeden“ — Tyle o Tobie słyszałam — jesteś poczciwy — no i morowy! Ślę Ci pozdrowienia!

Wszystkim „Krainiankom“ i „Krainiakom“ dziękuję za pozdrowienia i łączę ich całą moc.

OTRZYMAJĄ

„Smutna Czarnulka“. Na zapytanie Twoje odpowiadam uprzejmie, że książkę kucharską mogą otrzymać już tylko te panie, które opłacą prenumeratę „Mojej Przyjaciółki“ do końca bieżącego roku.

„Wytworny Włóczęgo“! Ślicznie dziękuję za pozdrowienia, które stokrotnie odwzajemniam. Ciekawam, coś Ty za jeden? Czyżby...? Uchyl rąbka Swej tajemnicy, niech się przekonam, czy domysły moje są błędne. Wiosenne uśmiechy przesyła Ci F.

„Wesoła Tuśko spod Grudziądza“. Jeśli się nie mylę, to mieszkamy blisko siebie. Jesienią ub. roku, jadąc rowerem w stronę Słup — Łasin, spotkałam pewną dziewczynkę w towarzystwie czworonogiego przyjaciela. Dziewczynka ta była zupełnie podobną do Pani, a więc jestem pewna, że właśnie tą osóbką była Pani. Napisz do mnie, a odpowiedź otrzymasz. Śliczne pa oraz całusy.

BARDZO CHĘTNIE!

„Albatros II“. Niepotrzebnie się Pani przejmowała tym, że zabierasz mi zbyt dużo czasu swym listem, bo czytałam go z żywą przyjemnością. Bardzo chętnie godzę się na propozycję Pani, że będziesz zwracała się do mnie, jak do bliskiej i zaufania godnej przyjaciółki. Możesz mi pisać wszystko, co Ci się nasunie na myśl i zaciąży na sercu — nie mam specjalnych restrykcyj względem Ciebie.

Pragniesz korespondować z „Krainiakami“ inteligentnymi i dobrymi. Życzę Ci powodzenia i przyjemności i pozdrawiam!

NADEŚLIJ MI SWÓJ ADRES

„Smutna i brzydka Irka“. Iruś Droga — bardzo mi się podobasz, że takie dzielne stanowisko obierasz w sprawie, którą mi przedstawiłaś.

Czy „Krainiacy“ piszą do Ciebie? Mam tu jeden list dla Irusi, lecz nie mogę Ci Go dostać, bo nie przysłałaś mi dokładnego adresu. Więc jak będzie?...

Całuję Ci i oznajmiam „Przedwiośniu“, że tęsknisz i czekasz.

SERDECZNOŚCI DLA „KRAINY“

„Urwisz“. Już dobrze, Mała Dziewczynko — już wiem i nie mam nic przeciwko Tobie!

Napisz mi proszę, czy dużo miłych zjednałaś sobie już siostrzyczek z „Krainy“ i czy jesteś zadowolona.

Posyłam Ci ciepłe słowa pozdrowień i silny uścisk dłoni.

Dla całej „Krainy“ serdeczności od „Urwisza“!

OTRZYMAŁAM

„Skowronek“. Otrzymałam Twój list z wyjaśnieniem i teraz jestem zadowolona. Należało od razu mnie objaśnić, skąd mogłam wiedzieć to, czego mi nie powiedziałaś! Ale to nic — wszystko jest w jak największym porządku. Życzę Ci dużo miłej korespondencji i zasyłam serdeczny uścisk dłoni.

CZEKAM NA ADRES!

„Anka z Kieleckiego“. Bardzo miły jest Pani list, „Anko“! Ma jednakże jedną wadę, mianowicie nie ma w nim adresu Pani. Proszę się poprawić w przyszłym, na który czekam niecierpliwie.

Naturalnie, że można mnie odwiedzić w Żninie — bardzo mi będzie miło powitać Panią w redakcji.

Wierzę i ja, że otrzymasz dużo listów od „Krainiaków“, gdyż masz niesłychanie ujmujący sposób podchodzenia do ludzi — ja lubię Cię już po tym pierwszym liście.

„Krainie“ przedstawiam Cię z przyjemnością, zaznaczając — co od Ciebie usłyszałam — że masz szare oczy, jesteś brunetką i odznaczasz się dziwnym, na pół smutnym uśmiechem.

Ponadto nadmieniam, że bardzo pragniesz, aby Cię polubili i serdecznie przyjęli do swego grona.

Myślę, że tak będzie!

Pozdrawiam Cię i czekam na adres.

Teczka Wujka Janusza

NIE ODBIERAM NADZIEI...

P. Maryśka K. Zgodnie z życzeniem poleciłem zwrócić Pani dwie nowelki — „Parabolę miłości“ i „Wyprawę po złote runo“.

Wierszyki Pani są milutkie, tylko — tylko widać od razu, że pisała Pani mało, że dopiero stawia Pani pierwsze kroki na tym polu. Nie mówię więc, aby Pani przestała tworzyć, ale zachęcam Panią do tego. Tyle moich Sympatyczek zaczynało dosłownie od niczego — wierszyki były zawsze słabe, banalne, bez rytmu — a później nagle — znalazło się wszystko i rytm i rym i myśli ciekawe i dobra forma.

Ze względu też na to nie odbieram Pani nadziei, ale daję ją Pani. Na początek, dla zachęty, przedrukowuję najmilsze z przesłanych wierszy zwrotki i pozdrawiam Panią.

PAMIĘTAJ

Jeżeli kiedyś dowiesz się o mnie,
żem w zatraceniu zniknęła gdzieś,
jak nieskończona — przerwana pieśń,
rzucona w wielką przestrzeni bezdnię —
pamiętaj, że było mi bardzo źle,
że brzemię życia ciążyło mi,
że ludzie często bywali źli
i że smutek się za mną wszędzie wlekł...

Maryśka K.

PISZ DALEJ...

Wieszczka Kwiatów. Dawno już, bardzo dawno nie miałem listu od Pani, a więc ucieszyłem się temu ostatniemu i dwom wierszykom — miłym i słodkim. Pisz dalej, wyśpiewuj swoją miłość do ludzi i świata w swych prostych zwrotkach, ucz kochać szlachetnie, budź zamiłowanie do piękna przyrody! Jeżeli w ten sposób wykorzystasz swoje zdolności — zrobisz wiele i wiele po sobie pozostawisz. Żegnaj i pomyśl kiedyś znowu o Twoim starym przyjacielu.

Dopisek zamieszczam: „Banialuko“, jesteś przemiłym trzpiotem, napisz, a sprawisz mi dużo radości“.

SMUTNO MI...

Nie wiem, czemu serce moje
Dziś tak bardzo drży,
Tak się dzisiaj czegoś boję
— Smutno — smutno mi...
W którą tylko spojrzę stronę,
Wszędzie mrok i mgły,
Żadna gwiazdka dziś nie płonie
— Smutno — smutno mi...
Kto zrozumie me tęsknoty,
Kto osuszy łzy,
Kto ukoi ból sieroty?
— Smutno — smutno mi...

„Wieszczka Kwiatów“.

PRZECZUCIE NIE OMYLIŁO...

„Puszczyk I.“ Przeczucie nie omyliło Pana, „Puszczyku“! Mimo wszystko proszę przyjąć ode mnie silny, przyjacielski uścisk dłoni.

PIEŚNI MOJA!

Pieśni moja! Płyń radosna,
Płyń w błękitu toń,
Już urocza pachnie wiosna,
Już zieleni się błoń.

Hen! Gdzie chmury, gdzie niebiosy
Rzewną nutą płyń,
Z ptaszęcymi wzbij się głosy
I w przestworzach giń.

Gdzie wiosenny wietrzyk ciepły
Pieśni moja leć!
I stop duszy ból zakrzepły,
Radość w sercu mieć.

Ponad łąki i ugory
Skowronkiem się wzbij,
Tam, gdzie słońce, gdzie lazury,
Pieśni moja żyj!!!

„Czarodziejka“.

Raj kobiet



KK 43301 MK 43255

V 49271



V 47256

V 2062

V 43168

V 43270

V 43168 Milutka czapeczka z jednokolorowym pomponem. Potrzeba około 30 cm mater. szer. 95 cm (na 12 lat).

KK 43301 Dla małego chłopczyka — płaszczyk z wełnianego materiału, jasno nakrapianego. Kołnierzyk futrzany. Na 4 lata potrzeba około 1,20 m materiału szer. 130 cm. Krój na 2, 4 i 6 lat — cena 1,60 zł.

MK 43255 Rękawki tego skromnego płaszczyka są u góry marszczone, u dołu dość szerokie, ujęte w wąski mankiecik z futra. Na 6 lat potrzeba 1,60 m materiału szer. 130 cm. Krój na 4 i 6 lat — cena 1,60 zł.

V 49271 Kapelusik dla dziecka, z wygiętym rondkiem, wykonany z materiału w kratę. Potrzeba około 30 cm. materiału szer. 130 cm (na 2 lata).

V 47256 Przemiła czapeczka z miękkiego materiału pepity; potrzeba około 25 cm. materiału szer. 130 cm. (na 9 lat).

V 2062 Czapeczka marynarska, wykonana z tego samego materiału, co płaszczyk. Potrzeba około 20 cm materiału szer. 70 cm. (na trzy lata).

V 43270 Kapelusik dla małej dziewczynki, przybrany stebnowaniem. Potrzeba około 40 cm mater. szer. 140 cm. (na 5 lat).

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji; kroje na czapeczki w cenie 0,80 zł za sztukę.

Świat i życie

Hormony roślinne

Jednym z ostatnich naukowych odkryć, posiadającym olbrzymie znaczenie dla rolnictwa, jest stwierdzenie, że pewne substancje chemiczne mogą roślinie zastąpić prawie całkowicie glebę. Badania w tym kierunku prowadzi angielski instytut Boyce Thompson.

Ostatnio w instytucie tym przeprowadzono próby z różnymi substancjami chemicznymi, które dodawano do wody, służącej do podlewania roślin. Dzięki tym substancjom, w które wchodzą głównie ethylen, chlorhydrin itp., osiągano doskonalszy rozwój i szybsze dojrzewanie kartofli, pomidorów i innych roślin. Kwiaty podlewane wodą z odpowiednimi rozczynami chemicznymi, można było doprowadzić do rozkwitu w okresie Bożego Narodzenia, podczas gdy w normalnych warunkach rozkwitały one dopiero w maju lub czerwcu. Zastosowanie hormonów roślinnych w rolnictwie stwarza nowe, olbrzymie możliwości.

Dotychczas jednak doświadczenia te nie wyszły z okresu eksperymentu.

Historia ogórka

Ogórki były znane i uprawiane już przed 3000 lat. W starożytnym Egipcie, również jak w dzisiejszym zajmowano się gorliwie ich uprawą. Niektóre miejscowości, jak np. Mandes dostarczały świeżych ogórków w ciągu całego roku.

Szczególnymi amatorami ogórków byli Żydzi. W Piśmie Świętym spotykamy wzmiankę, że podczas błądzenia po pustyni wymawiali często Mojżeszowi brak ogórków. Najdawniejsi autorzy greccy utrzymywali, że ogórki rosnące w okolicach Antiochii są najsmaczniejsze. Podobno nasienie ich moczono w mleku i miodzie przez kilka dni przed zasianiem. Pliniusz wspomina, że cesarz Tyberiusz kazał codziennie podawać ogórki do stołu. Surowe ogórki uważano jednak w owe czasy za niezdrowe i niestrawne, sam Pliniusz radzie spożywać je gotowane i przyrządzone z octem, oliwą i miodem.

Trudno dokładnie ustalić kiedy sprowadzono ogórki do nas. Za ojczyznę ich uchodzi Azja, lecz w stanie dzikim nie spotkał ich żaden z podróżników. W Anglii, która obecnie spożywa wielką ilość ogórków świeżych i konserwowanych, surowe ogórki były przed 200 laty traktowane na równi z trucizną. Toteż ówczesny znakomity lekarz Abernetchy, udzielał takiej recepty: „Weź spory ogórek, obierz go, pokraj w kawałki, dodaj soli, pieprzu i octu i wyrzuć to wszystko przez okno!"

W medycynie sok z ogórków i łupin stosowany jest jako środek udelikatniający skórę i usuwający piegi i opaleniznę. W Grecji ból głowy leczą łupinami od ogórków, które przykładają na czoło i głowę i przywiązują mocno chustką. Dojrzałe żółte ogórki, po wyrzuceniu z nich ziarnek, suszą na słońcu, następnie moczą w gorącej wodzie i używają jako środka przeciwko odmrożeniu.

Ze świata

Nieproszony gość

Do jednego z sanatoriów kalifornijskich, położonych w miejscu zabezpieczonym przed powodzią, schroniła się grupa powodzian, między którymi znajdował się pewien milioner, właściciel wspaniałego pałacyku dziś całkowicie zburzonego przez wodę. Milioner nie tyle ubolewał z powodu straty pałacyku, zabezpieczonego na sumę kilkuset tysięcy dolarów, ile dlatego, że nie mógł zabrać ze sobą oswojonego lwa, którego upolował kiedyś w Afryce. Zwierzę schwytane w drugim miesiącu swego życia, przetransportowane zostało do pałacu milionera i otoczone czułą opieką przywiązało się do swego pana.

Jakież było zdziwienie, gdy pewnego wieczoru mieszkańców sanatorium obudził groźny ryk. Milioner poznał głos swego czworonożnego pupila. Okazało się, że lew potrafił wymknąć się z terenu powodzi i, trafnym instynktem wiedziony, znalazł drogę do miejsca schronienia swego pana. Milioner niezwykle ucieszył się pojawieniem się zwierzęcia. Zarząd sanatorium jest natomiast mniej zadowolony gdyż nie ma ani odpowiedniego przygotowania dla gościa; ani też dostatecznych zapasów mięsa i innej żywności. A lwiątko zdradza doskonały apetycik.

Rzadki wypadek

Niedawno przechodnie w małej mieścinie lotaryńskiej Wargnies-le-Grand nieopodal Valanciennes podziwiać mogli pięknie ustawiony ogonek, złożony z 800 tamtejszych mieszkańców i wyczekujących swej kolejki przed okienkiem kasowym miejscowego urzędu skarbowego. Niezwykle tłumne przybycie ludności wywołane zostało zapewnieniem tamtejszego urzędnika skarbowego, że wypłaci mieszkańcom miasteczka po 7 franków na głowę. Niespotykana w dziejach skarbowości decyzja datuje z czasów zamierzchłego średniowiecza. Podczas wielkiej epidemii dżumy, jeden z panów włości, do których należało wówczas Gargnies-le-Grand, obiecał mieszkańcom miasteczka, że podaruje im 12 hektarów gruntu, jeżeli z obawy przed epidemią nie opuszczą jego posiadłości. Ponieważ ówcześni mieszkańcy okazali dostateczne zainteresowanie zrobionym im podarunkiem, dzisiejszy ich potomkowie korzystają z czynszu za te grunty, który otrzymują za pośrednictwem urzędu skarbowego.

Ludzka zdolność spostrzegania jest ograniczona

Sędziowie wiedzą, że każdy z kilku świadków tego samego zdarzenia zwykle zeznaje o nim w zupełnie innym świetle, pomimo dobrej wiary. Fakt ten wynika z niedoskonałości zmysłu obserwacji.

Pewien profesor psychologii na uniwersytecie w Kolumbii postanowił zademonstrować studentom to zjawisko w sposób poglądowy. Zainscenizował on w sali wykładowej zajście umyślnie, aby potem drogą ankiety zbadać w jaki sposób spostrzeże je każdy ze studentów. Tematem opisu miał być wypadek, że czterech ludzi nagle wpadło na salę, bijąc się wzajemnie i niszcząc meble, po czym po 30 sekundach wybiegło dalej.

Z 25 obecnych tylko trzy osoby potrafiły odpowiedzieć poprawnie na pytanie dotyczące ilości intruzów, zaś jeśli chodzi o ich rysopisy, każdy wydał inną opinię. Przykład ten świadczy o tym, jak mało czasami bywają warte zeznania nawet naocznych świadków.

Używajmy spaceru

Najbardziej rozpowszechnioną chorobą wśród mieszkańców miast jest zła przemiana materii. Głównymi jej źródłami obok dziedziczności jest brak ruchu i niewłaściwe odżywianie. Choroba na oko zdawać by się mogła tak prosta i łatwa do zapobieżenia, w rzeczywistości stanowi od szeregu lat jedną z najpoważniejszych bolączek naszej medycyny.

Zła przemiana materii oprócz szeregu dolegliwości wewnętrznych, kładzie specyficzne piętno zewnętrzne na osobach chorych. Brak ruchu bowiem połączony z długim przesiadywaniem w biurach i warsztatach pracy, czyni ruchy ludzi ociężałymi, a co gorsza, znużenie odbijające się równocześnie na twarzach, nadaje im wyraz apatii.

Jak wygląda twarz kobiety cierpiącej na złą przemianę materii?

Kolor cery jest ziemisto-szary, policzki pozbawione rumieńców, spojrzenie oczu półbłędne.

Celem zapobieżenia tego rodzaju stanom, a równocześnie niedopuszczenia do chorób, wynikających ze zbyt długiego siedzenia, połączonego z małym ruchem, cały szereg pań spędzających większą część dnia w zamkniętych dusznych lokalach biurowych uprawia sporty, jak: wioślarstwo, pływanie i tenis. Dają one bowiem możność przebywania na świeżym powietrzu, słońcu i wodzie. Odsłonięte w większości ciało oddycha całą powierzchnią skóry, a konieczność przebywania na powietrzu przy różnych zmianach temperatury doskonale hartuje cały organizm i uodparnia go przed chorobami w czasie miesięcy zimowych.

Nie wszystkie jednak panie uprawiają sporty od wczesnej młodości, przystępowanie zaś do nich bez uprzedniej zaprawy jest bardzo szkodliwe dla zdrowia. Doskonałym przygotowaniem do sportów dla pań pracujących, i nie mogących poświęcić temu większej ilości czasu, jest gimnastyka i spacery.

Niestety, cały szereg pań przez spacer rozumie często piesze chodzenie przed i po biurze. Tymczasem ten rodzaj ruchu jest całkowicie niedostateczny. Chodzenie bowiem zakurzonymi i hałaśliwymi ulicami, zwłaszcza w okresie upalnych miesięcy, nie tylko nie przynosi właściwego efektu, ale może dać wręcz odwrotny skutek, powodując jeszcze większe zmęczenie.

Najlepszym wyjściem z sytuacji jest więc obok uprawiania niezbyt forsownych sportów, chodzenie piesze. Spacer pieszy jest u nas jeszcze nienależycie ceniony, podczas gdy w krajach o wysokim poziomie kultury fizycznej uważany jest za doskonały środek sprawności mięśni i — innymi słowy — młodości.

Chodzenie pieszo nie może odbywać się w rekordowym tempie szybkobiegacza, lecz krótkim umiarkowanym, który nadaje ruchom sprężystości i pozwala na szeroki, rytmiczny oddech na wolnym powietrzu. Niezbędnym dla zdrowia jest odbywanie spacerów takich za miasto, lub po ogrodach miejskich. W większych miastach na szczęście linie tramwajowe przedłużone zostały obecnie daleko poza obręb właściwego centrum i umożliwiają dzięki temu dojazd do odległych przedmieść. Spacer po nich i wybiegających z nich szosach i drogach wiejskich daje możność odetchnięcia świeżym powietrzem, zastępującym pobyt wypoczynkowy w miejscowościach podmiejskich. Stosunkowo krótkie, najwyżej czterotygodniowe urlopy wypoczynkowe, zmuszają do przebywania przez większą część lata w mieście, wobec czego jednym z najaktualniejszych zagadnień staje się dzisiaj racjonalne wykorzystanie okresu letnich miesięcy dla podtrzymania zdrowia i dobrego samopoczucia.

Wskazane jest więc spędzenie wiosennych i letnich niedziel i dni świątecznych na odbywaniu całodziennych lub chociażby parogodzinnych spacerów podmiejskich. Po takiej przechadzce nabieramy zawsze większego zapału do pracy, zwiększamy energię i odświeżamy umysł. Oczy nabierają blasku, a wzrok wypoczęty nadaje twarzy nowego wyrazu. Ruch na świeżym powietrzu przyspiesza obieg krwi, zaróżowiając policzki i dodając im zdrowego wyglądu. Każda kobieta wraca z takiego spaceru odświeżona i odmłodzona. Wraz z opuszczeniem szarych murów miejskich opuszczają ją codzienne troski i natłok myśli wynikłych z przepracowania. Zostawia za sobą szarzyznę dnia codziennego, oddając się wchłanianiu nowych wrażeń, radując oczy świeżą zielonością otaczającej natury.

Osoby zdrowe winny spacerom takim poświęcać 2—3 godzin, zaś osoby słabsze chociażby tylko 1 godzinę dziennie. Ale muszą to być spacery dla spaceru, nie połączone z załatwianiem sprawunków lub parogodzinną siestą w zadymionej kawiarni. Dobry zdrowotny wynik kosmetyczny daje nam bowiem jedynie spacer odbywany równym krokiem, z umysłem wolnym choć na tę jedną godzinę od zwykłych zajęć i codziennych trosk.

Lato i pogoda nie tylko panować winny obecnie w przyrodzie, ale i w nas samych znaleźć swe odbicie. Młodość i urodę zachować zdołamy tak długo, jak długo będziemy pogodne, uśmiechnięte i zdrowe. Te zaś walory da nam przede wszystkim ruch na świeżym powietrzu i racjonalny spacer oraz nieforsowne uprawianie sportów.

Dr. med. J. Świtalska.



Francuski skoczek spadochronowy James Williams w chwili przygotowywania się do skoku z wysokości 10 tys. mtr. W skoku tym lotnik otworzył spadochron dopiero na 200 mtr. nad ziemią.

KURT PERGANDE

Czerwony samochód

Przełożył H. Lindemann

(Dokończenie.)

Piotr uśmiechnął się zimno, nacisnął akcelerator i samochód pomknął szybciej.

— Chcę ci wyjaśnić, co to znaczy. Otóż my „strzelamy" nitrogliceryną. Ludzie sądzą, że wystarczy tylko wywiercić dziurę w ziemi, by z niej trysnęła ropa naftowa. Lecz sprawa ta nie przedstawia się tak prosto. Często na przykład zdarza się, że świder łamie się i w ten sposób całe wiercenie przybiera dość głupi obrót, a na powierzchnię nie wypływa ani kropla ropy. Można by w takim wypadku sprzedać za parę groszy źródło ropy, gdyby nie my „strzelcy nitroglicerynowi". My musimy złamany świder wysadzić w powietrze. Robi się to w ten sposób, że do otworu wiertniczego wpuszcza się jedną lub dwie małe bańki nitrogliceryny i potem wysadza się je prądem elektrycznym. W czasie naszej pracy nie zobaczysz żywej duszy na całym polu. Obecnie, jak ci już zaznaczyłem, przewożę nitroglicerynę na inne pole, ażeby wysadzić świder. Zresztą wiesz już teraz, jak to się robi.

Hatter zbladł i wyciągnął browning.

— Stać! — krzyknął.

— Przewożenie nitrogliceryny — ciągnął dalej Piotr — to dość makabryczny interes. Wiesz dobrze, że w tym kraju każdy interes jest do zrobienia, a jednak nas żadne towarzystwo nie chce ubezpieczyć.

Browning uniósł się wyżej.

— W tej chwili zatrzymaj samochód!

Piotr ani nie drgnął i nacisnął akcelerator. Strzałka tachometru stanęła na siedemdziesiątce.

— Siedemdziesiąt — rzekł Piotr. — Możesz być pewny, że za chwilę będziemy w niebie. A policja dopiero będzie się dziwiła, że zniknąłeś z powierzchni ziemi, nie pozostawiwszy na pamiątkę ani nawet jednego guzika... Miałem dwóch poprzedników. Jeden nieco mocniej postawił na ziemi prawie pustą już bańkę. Po chwili Jency, bo to tu właśnie był, znalazł się w niebie.

Piotr poczuł na skroni zimny wylot lufy browninga.

— Po raz ostatni mówię: zatrzymaj się!

Hatter chciał mówić zrównoważonym głosem, co mu się jednak nie udało.

— Jeżeli strzelisz, rzekł Piotr uprzejmie — wóz zarzuci, a to wystarczy. Ani jeden włos nie pozostanie z twej osoby... Czy sądzisz, że boję się twego browninga?...

Hatter opuścił browning.

— Zwolnij tempo, prosił.

— Dobrze, jeżeli będziesz rozsądny. A mój drugi poprzednik przelewał nitro z jednej bańki do drugiej nieco za dużym strumieniem i wyleciał w powietrze. Nazywał się Clark.

Piotr oddychał głośno. Zwolnił jazdę. Przed oczyma latały mu czerwone płatki. Piekielna szybkość i świadomość, że każdej chwili może wylecieć w powietrze wyczerpały go zupełnie. Ujrzał na drodze niezmierzoną ilość świateł. Były to reflektory nadjeżdżających z przeciwnej strony samochodów. Piotr krzyknął. Niemożliwością wydawało mu się uniknąć bez wypadku ten olbrzymi sznur samochodów. Zderzenie było nieuniknione. Krzyczał już teraz bez przerwy i czuł, że robi to z bólu, wściekłości i szału, który go opanował. Hatter również krzyczał jak przestraszony zwierz.

Po chwili widmo zniknęło... Były to w rzeczywistości światła bliskiego już miasta. Piotr zmniejszył szybkość i spojrzał z boku na swego towarzysza. Hatter ukrył twarz w dłoniach i łkał z przerażenia. Piotr uśmiechnął się lekceważąco i wjechał na dziedziniec komendy policji.

Przybiegło dwóch policjantów.

— Czyś ty oszalał! — krzyknęli równocześnie.

Piotr wypchnął Hattera drżącego na całym ciele.

— Przywiozłem wam tylko dobrego znajomego.

Zbliżył się kapitan i Piotr wyjaśnił mu rzecz całą w paru słowach.

— Dostaniesz ładną nagrodę, rzekł kapitan. Spojrzał potem badawczo na samochód, przeniósł wzrok na Piotra i dodał.

— To musiała być piekielna jazda?

— Zdarzają się zabawne rzeczy, kapitanie — rzekł Piotr. — W każdej minucie sześćdziesiąt razy przeklinałem swój zawód. Lecz nigdybym nie uwierzył, że nitrogliceryna uratuje mi życie.

Oparł się plecami o samochód, gdyż uczuł ogromne zmęczenie.

Koniec.



Dr. Seyss Inquart namiestnik Rzeszy w Austrii.

Ilona popatrzyła na niego spod oka i spostrzegła w twarzy jego ponury i groźny wyraz.

Żyły nabiegły mu na szyi, a policzki były zaczerwienione. Burza wisiała w powietrzu. Cyganka to widziała i aby burzę tę zażegnać, rzekła smutno:

— Nie wiem, jakeśmy się mogli dla takiej drobnostki tak okropnie pokłócić. To było tylko nieporozumienie. Mnie się zdawało, że ty mnie więcej nie kochasz i to mnie tak zabolało. Pocałuj mnie, mój drogi, i powiedz mi, że nikogo w świecie tak nie kochasz, jak swą Ilonę, a wszystko będzie dobrze!

Mówiąc to, zarzuciła mu swe ramiona na szyję i tak czule popatrzyła na niego swoimi dużymi, czarnymi oczyma, że nie mógł się dłużej oprzeć i ucałowawszy ją ogniście, poprzysiągł jej wieczną, wierną miłość!

Cyganka pierwsza wyrwała się z jego objęć i rzekła:

— Musisz się spieszyć, mój drogi! Ja cię odprowadzę aż do Petershagen!

Zapakowała mu prowiant na drogę w woreczek, a flaszkę z wódką wsunęła mu do kieszeni. Potem nasadziła mu kapelusz na głowę i pociągnęła go za rękę za sobą.

Alojzy zamknął starannie zamek i położył klucze do zwykłego schowku. Potem para narzeczonych poszła ramię w ramię w kierunku dworca kolejowego, a Ilona skracała i uprzyjemniała kasztelanowi drogę, swoją wesołą paplaniną. Na dworcu zaczekała aż do odejścia pociągu i czule się z nim pożegnała.

Stała tak jeszcze przez kilka chwil na peronie, ale skoro tylko pociąg znikł z jej oczu, znikł wesoły uśmiech z jej twarzy i Cyganka mruknęła ponuro do siebie:

— Mała część tej wódki wystarczy, aby go ze świata zgładzić, ale jestem pewna, że on wszystko wypije! Mogłabym go była i w Felseg zatruć, ale nie chciałam mieć trupa w domu i boję się widoku martwego ciała. Tak zaś umrze w drodze, lub zaraz po przybyciu do Wiednia, a nikomu nie przyjdzie na to, kim on jest i co było powodem, jego śmierci. Ja zaś będę raz na zawsze uwolniona od jego wstrętnych konkurów i będę miała spokój!

Spokoju chcesz nędzna trucicielko? Nie znajdziesz go na ziemi i drżyj na myśl, że jest Bóg na niebie, który wszystko widzi i każdą zbrodnię karze!

ROZDZIAŁ CCLXX

Noc pełna zbrodni

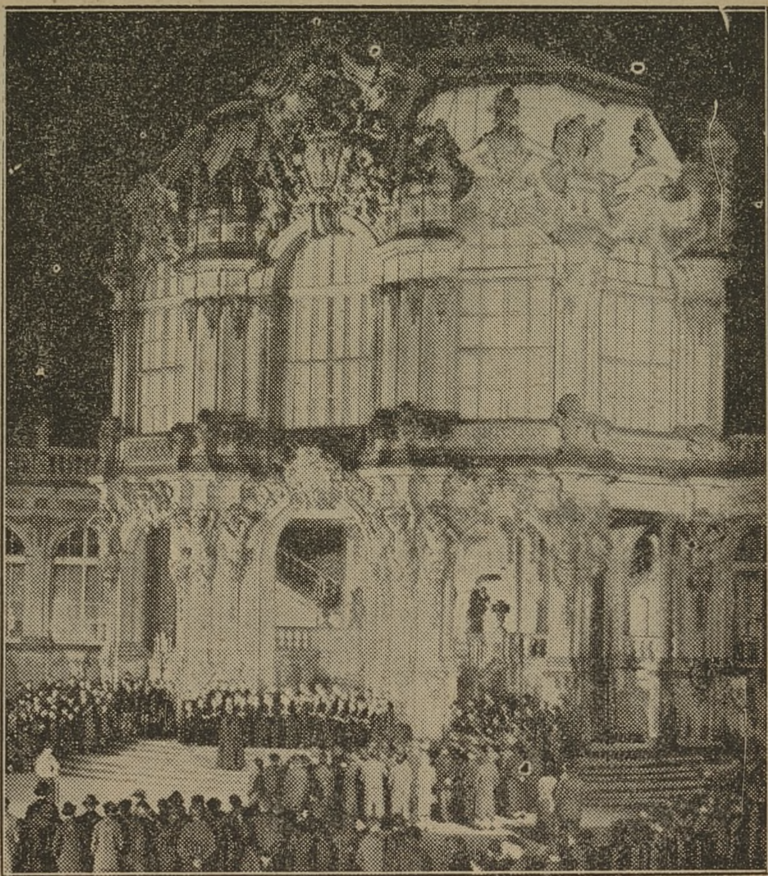
Była to ciemna noc. Na ulicach świeciły się tu i ówdzie jeszcze latarnie, ale okna domów wszystkie już prawie były ciemne.

Tylko z okien sypialni Grety migotało jeszcze blade światełko.

Piękna baletnica siedziała w nocnym swym stroju na łóżku i z chciwością liczyła złoto i banknoty, a piękna jej twarz zeszpecona była wyrazem sknerstwa i łapczywości.

— Trzydzieści tysięcy złotych! — szepnęła zadowolona — dobrze mi się teraz wiedzie, ale trzeba czas wykorzystać, bo mi jeszcze bardzo wiele potrzeba; Sturmfeder zaś, Sellentin i wszyscy inni nie dadzą się długo tak wyzyskiwać.

Napawała się tak dość długo jeszcze widokiem złota i bawiła się jego dźwiękiem.



Nastrojowa scena podczas nocnych zdjęć filmowych przed słynnym „Zwierzyńcem" w Dreźnie

Najchętniej zamieniłabym to wszystko na złoto — mruknęła Greta — ale to by mi za dużo miejsca zajęło i byłoby niewygodne do schowania, a ja nie mogłabym rozstać się z tymi pieniędzmi i dać je do banku, ja muszę je codziennie widzieć!

Wreszcie Greta zaczęła układać swe skarby do małej, żelaznej kasety, a gdy skończyła, byłaby je najchętniej jeszcze raz wyjęła i na nowo przeliczyła, ale spojrzawszy na zegar przekonała się, że północ już dawno minęła.

Chcąc nie chcąc, musiała się więc rozstać z widokiem swej kasety.

Ukrywszy ją pod materac odsunęła Greta zasuwkę drzwi, aby ją pokojówka jutro mogła zbudzić i wkrótce zasnęła smacznie.

Miała bardzo przyjemny sen. Zdawało jej się, że widzi wokoło siebie pełno złota i chciała wszystkie kieszenie nim napełnić, gdy wtem weszło dwóch mężczyzn i jeden z nich rzekł do niej: To wszystko twoje!

Ale w następnej chwili złapał ją drugi towarzysz za szyję i zaczął nią silnie potrząsać.

Z krzykiem otworzyła Greta oczy i przekonała się, że to nie był sen, lecz okropna rzeczywistość. Przed jej łóżkiem stali rzeczywiście dwaj mężczyźni w roboczych bluzach z zasmolonymi twarzami i jeden z nich dusił ją, podczas gdy drugi przyświecał mu złodziejską latarką.

— Mów, gdzie masz swe złoto, kobieto! — krzyczał jeden, ochrypłym głosem.

Ale zamiast odpowiedzi, zaczęła Greta krzyczeć w niebogłosy i wołać o pomoc.

W następnej chwili jednak miała już knebel w ustach.

— Tak, a teraz wyj, ile chcesz — szydził jeden z rabusiów — i śpiewaj, co ci się podoba.

Obaj zaczęli się śmiać z tego dowcipu, potem wyższy z nich wyciągnął sznur z kieszeni i związawszy ręce Grety, rzekł:

— A teraz obejmij mnie, mój gołąbeczku, bo zdaje mi się, że masz wielką ku temu ochotę!

Potem związał jej obie nogi i znów zawołał:

— A teraz tańcz, koteczku! Jest to twoim zawodem, więc powinnaś umieć i ze związanymi nogami tańczyć!

Drugi z rzezimieszków zaczął się tymczasem po pokoju rozglądać i otwierać wytrychami wszystkie możliwe zamki.

Drżąc na całym ciele przypatrywała się Greta, jak wszystkie jej rzeczy przeszukiwano i wszystką jej biżuterię zabierano. Diamenty, perły, ametysty i korale, wszystko to szło do ich kieszeni.

Tylko pieniędzy jeszcze nie mogli znaleźć i przystąpili znów do jej łóżka, aby ją zmusić do wydania tychże.

Tymczasem Greta nie próżnowała. Z natężeniem wszystkich sił, udało jej się uwolnić ręce swe z nałożonych jej pęt, chciała właśnie wyjąć knebel z ust, gdy zbrodniarze przystąpili znów do jej łóżka. Widząc, że chciała ona uwolnić, zamierzali ją na nowo spętać, ale Greta broniła się z wszystkich sił.

Jak szalona biła rękami wokoło siebie, tak, że obaj mężczyźni przez kilka minut formalnie z nią walczyć musieli, nim ją wreszcie pokonali.

Jeden z nich tak się tym oporem rozłościł, że wyjął nóż z kieszeni i pchnął ją nim kilka razy, tak, że ona zemdlała, a całe łóżko zbroczone zostało kałużą krwi.

Szorstko odsunęli zbrodniarze martwe ciało na bok i zaczęli przeszukiwać łóżko. Znaleźli wreszcie to, czego szukali i aż krzyknęli głośno z radości.

Zawinąwszy kasetę w chustkę, zabierali się do wyjścia.

— Czy mamy wszystko? — zapytał jeden z nich...

— Zdaje mi się, że tak — odparł drugi — możemy już iść!



Interesujące nocne zdjęcie Nowego Jorku przy blasku bomby lotniczej - oświetlającej.

Wysunęli się cicho z pokoju, nie spojrzawszy nawet na martwą swą ofiarę, wyszli do przedpokoju i po schodach do suteren.

Stamtąd wychylił jeden głowę przez okno piwnicze i świsnął głośno.

— Wszystko w porządku — odpowiedział cichy głos, poczem najpierw jeden z rabusiów wylazł przez okno na ulicę, a za nim z trudnością przepchnął się drugi.

— Czy wszystko dobrze poszło ?— zapytał trzeci wspólnik, który stał przed bramą na straży.

— Wybornie — brzmiała odpowiedź — ale teraz uciekajmy stąd!

Oddalili się od miejsca swej zbrodni spiesznym krokiem, nasunąwszy czapki głęboko na czoło. Wreszcie po dłuższym czasie doszli do małej, wąskiej uliczki i stanęli przed bramą jakiegoś starego domu.

Jeden z nich wyjął klucz z kieszeni i otworzył nim bramę. Weszli razem do izdebki na trzecim pietrze, a blady blask świeczki oświecił twarze trzech rzezimieszków: Maksa, Józefa i barona.

Obaj ostatni mieli jeszcze na twarzy ślady krwi i byli głównymi wykonawcami tej zbrodni, Maks stał tylko na straży.

Józef wyciągnął z kieszeni pęk wytrychów, gdyż jako dawny ślusarz, było to jego fachem, otwierać wszystkie zamki, gdy na spółkę gdzieś się włamywali.

Z kieszeni barona zaś sterczał duży, krwią zwalany nóż, którym baron zakłuł biedną Gretę, by ją po raz drugi okraść!

Wysypawszy wszystek swój łup z kieszeni, a były to naszyjniki ,kolczyki, broszki i bransolety biednej baletnicy, zaczęli się nim po bratersku dzielić, przyczem baron rej wodził i dwie trzecie części łupu zagarnął.

— Zaglądnijmy teraz do kasety! —rzekł Maks niecierpliwie.

Józef otworzył ją i wysypał zawartość jej na stół.

Na widok tej masy pieniędzy, wykrzyknęli wszyscy trzej, pełni zdziwienia.

— O, to był dobry połów! — rzekł baron uradowany — nie byłbym się po Grecie spodziewał, że ona taka naszpikowana złotem!

Naśmiawszy się z dowcipu, zabrali się do podziału.

Misję tę objął znów baron, ale Józef i Maks czuli się tym razem bardzo skrzywdzeni, widząc ile baron dla siebie bierze, a jak mało im zostawia. Szczególnie Maks miał bardzo skrzywioną twarz.

— Nie, baronie — rzekł wreszcie ostro — nie pozwolę na to, abyś wszystko dla siebie zagarnął. Musisz nam przynajmniej jeszcze dać choć po tysiącu!

— Dostaliście tyle, ile było umówione — odparł baron chłodno.

— Pomagaliśmy przytem porządnie — rzekł znów Maks.

— Gdybym to sam mógł był zrobić, nie byłbym was brał do pomocy — odparł znów baron.

— Ja stałem na straży — rzekł Maks — a Józef wyjął kratę z okna piwniczego i pootwierał ci wszystkie zamki ,a teraz dajesz nam za to wszystko taką nędzną odrobinę, o którą się nawet nie warto było trudzić.

— Jak wam nie warto o taką odrobinę się trudzić, to oddajcie ją !— zadrwił baron.

— Pożałujesz tego kiedyś, jak nam teraz trochę nie dodasz! — groził Maks.

— Wątpię — uśmiechnął się baron szyderczo.

Gdyby był spostrzegł wzrok, który mu Maks rzucił, nie byłby tak spokojnie zagarnął wszystkich pieniędzy!

Józef zachowywał się milcząco i zadowolił się daną mu cząstką, myśląc, że mu się wkrótce znów nadarzy sposobność obłowienia się.

— Co zrobimy z kasetą? — zapytał.

— Wrzućcie ją do Dunaju — zaproponował baron — a teraz wynoście się, bo jestem śpiący.

To rzekłszy, wyprowadził swoich gości i zamknąwszy za nimi drzwi na klucz, rzucił się w ubraniu na swe łóżko, bo to było jego właściwe mieszkanie. Miał prócz tego jeszcze jedno bardzo eleganckie mieszkanie; lecz swoich wspólników przyjmował tylko w tej dziurze i stąd też wybierał się zawsze na swoje nocne wyprawy.

W tym drugim eleganckim mieszkaniu przebywał zawsze pod nazwiskiem „Spenera" i utrzymywał pozory największej uczciwości.

Józef i Maks zeszli ze schodów i wyszli na ulicę przez bramę, którą baron zostawił otwartą.

Gdy przeszli kilka ulic, rzekł Maks:

— Teraz ja skręcam na prawo, bom zmęczony i spieszę wprost do mej budy. yT pewnie jeszcze będziesz chciał zajść do jakiejś knajpy?

— Naturalnie — rzekł Józef — jestem okropnie spragniony!

Gdy się rozeszli, przystanął Maks na chwilę, a potem zawrócił ostrożnie tą samą drogą, którą przebył przed chwilą.

Brama domu, w którym mieszkał baron, jeszcze była otwartą; w tej dzielnicy bowiem nikt się nie obawiał być okradzionym, bo nikt nic nie miał!

Oglądnąwszy się znów wokoło, wsunął się do wnętrza domu na trzecie piętro i chciał otworzyć drzwi prowadzące do mieszkania barona. Zobaczywszy jednak, że były na klucz zamknięte, zapukał i zawołał:

— Otwórz baronie, bo ja coś u ciebie w mieszkaniu zapomniałem!

Baron widocznie dopiero zasypiał, bo usłyszał głos Maksa i otworzył mu drzwi.

— Czego chcesz? — spytał zaspany.

Maks wsunął się zwinnie do pokoju i zasunął za sobą rygiel. Potem rzucił się na barona i zdusił go tak silnie, że twarz jego aż posiniała.

Zaczęła się straszna walka między rabusiami, która przez chwilę zdawała się być niezdecydowana. Wreszcie Maks złapał nóż i wepchnął go silnie w pierś barona.

Baron padł z przeraźliwym okrzykiem na ziemię.

Maks zaś otarł nóż spokojnie o surdut zamordowanego, schował go znów przy sobie i zaczął przeszukiwać kieszenie barona.

Gdy już zagarnął wszystkie pieniądze i klejnoty, oglądnął się ostrożnie, czy nie zostawił niczego, co by go mogło zdradzić i wyniósł się na palcach z domu, w którym popełnił przed chwilą morderstwo. Nawet serce nie zabiło mu żywiej; był zupełnie spokojny.

. . . .

Pani Grammel spała tej nocy smaczniej niż zwykle, a gdy się wreszcie obudziła, zobaczyła ku największemu swemu przerażeniu, że to była już dziewiąta godzina. Przestraszona i pewna, że dostanie od Grety burę, zerwała się prędko z łóżka i zbudziła pokojówkę, która również smacznie jeszcze chrapała.

Dziewczyna obudziła się przelękniona i ubrawszy się naprędce, chciała wybiec na dwór. Ale drzwi były z zewnątrz zamknięte.

— Co to ma znaczyć — krzyknęła — jesteśmy na prawdę z zewnątrz zamknięte!

— Zamknięte? — zdziwiła się stara — to pewno jakaś sztuczka Grety. Wstała wcześniej od nas i w ten sposób nas karze. Pukaj silniej o drzwi!

Zaczęły obie stukać w drzwi, a wreszcie krzyknęła Grammlowa z całej siły: Greto, kochana Greto!

Lecz Greta nie odzywała się i nie przychodziła uwolnić uwięzionych niewiast.

Wreszcie Grammlowa straciła cierpliwość. Była już 10-ta godzina, przytem była porządnie głodną. Wyjrzała przez okno i zobaczyła żołnierza, który usługiwał oficerowi mieszkającemu na parterze.

— Lino — zapytała pokojówkę — czy masz klucz od przedpokoju w kieszeni?

Dziewczyna sięgnęła ręką do kieszeni i wyciągnęła rzeczywiście klucz, o który Grammlowej chodziło.

— Teraz wszystko będzie dobrze — zawołała uradowana Grammlowa, i otworzywszy okno skinęła na żołnierza.

— Czego chcecie? — odparł tenże niecierpliwie.

— Kochany panie Glaubitz — poskarżyła się stara, nasza panienka zamknęła nas tu i poszła pewnie na próbę. Niech pan będzie taki dobry i nas wypuści! Zrzucę panu klucz od przedpokoju, aby pan przeszedł przez kuchnię i nas uwolnił z naszego więzienia. Czy chce pan być taki grzeczny?

Chłopak skinął głową potakująco i Grammlowa zrzuciła mu klucz, w brudnej chusteczce od nosa na podwórze.

Po kilku minutach usłyszały obie otwierające się drzwi kuchenne, wreszcie przekręcenie klucza w zamku drzwi prowadzących do ich izdebki, i zobaczyły przed sobą żołnierza-wybawiciela.

Grammlowa dziękowała mu bardzo wymownie i postawiła z wdzięczności przed nim flaszkę z likierem.

Wypróżniwszy ją, przypomniał sobie żołnierz, że musi swemu oficerowi poczyścić rzeczy i oddalił się szybko.

— Teraz pójdę zobaczyć, czy Greta naprawdę już poszła — rzekła Grammlowa — a ty Lino zrób tymczasem kawę!

Weszła do salonu, spodziewając się, że zastanie Gretę przed lustrem, ale omyliła się. Jadalnia również była pusta.

Wreszcie otworzyła stara drzwi od sypialni Grety, stała przez chwilę jak wryta i wyleciała wreszcie z przeraźliwym krzykiem do kuchni.

— Zbójcy, zbójcy! — bełkotała załamując ręce i szlochając głośno.

Dziewczyna przestraszyła się okropnie, ale ciekawość wreszcie przemogła. Pobiegła do sypialni swej pani, lecz w następnej chwili odskoczyła z przeraźliwym okrzykiem.

Greta leżała na swym łożu we krwi, a twarz, ramiona i piersi jej były poranione. Cały zaś pokój był w okropnym nieporządku.

Zamiast zobaczyć, czy pani ich nie dałaby się jeszcze ocucić, złapały się obie za ręce i zaczęły wyć i lamentować. Obawiały się zbliżyć do zmarłej.

Wreszcie otworzyła Grammlowa drzwi od przedpokoju i krzyknęła:

— Pomocy, pomocy! Zbójcy, złodzieje, rabusie!

Krzyk zaalarmował cały dom. Zlecieli się wszyscy sąsiedzi, aby zobaczyć, co się stało.

Gospodarz domu posłał prędko po policję, a przywołany lekarz skonstatował, że serce Grety jeszcze bije!



Leon Blum, mając sobie powierzoną misję tworzenia nowego gabinetu francuskiego, znajduje się w kłopotliwej sytuacji, chcąc odpowiedzieć na wszystkie pytania ciekawych dziennikarzy.

Po długich usiłowaniach udało się doktorowi przywrócić wreszcie Gretę do przytomności.

Otworzywszy oczy, patrzyła Greta kilka minut błędnie wokoło siebie: wreszcie zaczęła sobie przypominać okropne przejścia tej nocy. Spojrzała z trwogą pod poduszki, a zobaczywszy tam tylko próżne miejsce, zapytała zrozpaczona:

— Gdzie jest moja kaseta?

— Znajdzie się! — pocieszał ją lekarz, któremu zależało na tym, aby ją uspokoić.

— Nie ma jej, nie znajdzie się więcej! — jęczała Greta i padła nieprzytomna znów na poduszki.

Lekarz obejrzał ją bacznie i pokiwał smutno głową.

— Źle, bardzo źle z nią — mruknął.

Gdy ją znów ocucił i rany jej obwiązał, kazał ją przetransportować do szpitala, bo widział, że ona w domu nie może mieć należytej pielęgnacji.

Nikt z dawnych znajomych baletnicy nie byłby ją poznał, gdyby ją zobaczył leżącą w jednym z łóżek szpitalnych.

Twarz miała obandażowaną, oczy jej błyszczały jakby w gorączce ,a włosy spadały niedbale na czoło. Na piersi miała okład z lodu. Szalała z bólu i miała najokropniejsze wizje gorączkowe.

Przytem myślała ciągle o skradzionej kasecie i ciągle stratę swą opłakiwała.

Była to kara Boża za to, że się tak do podłej mamony przywiązała.

Zubożała, zeszpecona chora i nędzna, mogła teraz przemyśliwać nad znikomością skarbów i rozkoszy ludzkich.

ROZDZIAŁ CCLXXXIV

Zapłata

Opuściwszy dom zamordowanego, udał się Maks wprost na dworzec kolejowy i kupił sobie przy kasie bilet trzeciej klasy.

Nikt by nie przypuszczał, że ten niepozorny człowiek, siedzący skromnie w kącie, ma przy sobie tak ogromną sumę.

Ujechawszy kilka stacji, wysiadł, mimo, że bilet kupił na dłuższą przestrzeń. Kupił tu drugi bilet i pojechał w innym kierunku. Czynił to dla zmylenia tajnych agentów, szukających za jego śladami.

Nad ranem był już na pruskiej granicy. Wysiadł na przedostaniej stacji i poszedł pieszo, myśląc, że się tak łatwiej przez granicę przejdzie bez paszportu i innych legitymacyjnych papierów.

Będąc już na gościńcu ,zmienił swoje ubranie. Zdjął okrągły kapelusz i włożył czapkę, którą na każdy wypadek nosił w kieszeni. Nie był bowiem nowicjuszem w zbrodniczym rzemiośle i nauczył się ostrożności.

Gdyby zdjął bluzę, okazało się, że ma pod nią jasny, letni surdut. Wyglądał już teraz zupełnie inaczej. Żałował tylko, że nie mógł zmienić czerwonego nosa, po którym go łatwo poznać było można.

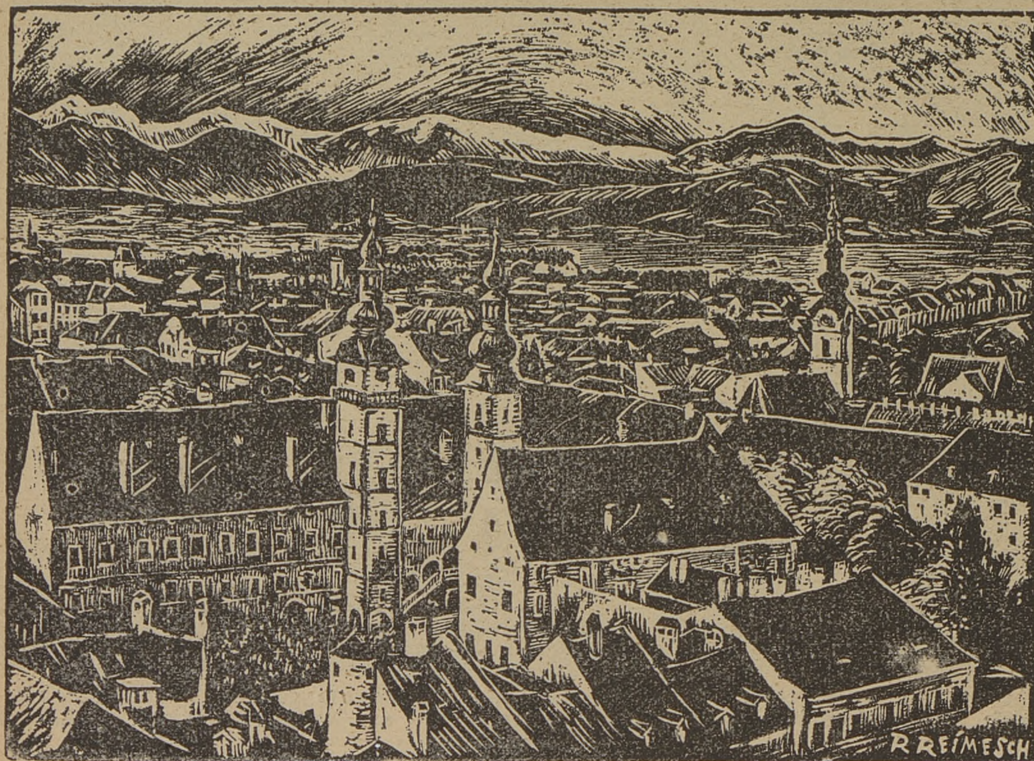
Zakopawszy bluzę w rowie, oglądnął się jeszcze, czy nie ma na sobie śladów krwi, i wszedł do najbliższego szynku, aby się po trudach ubiegłej nocy pokrzepić. Kazał sobie dać sute śniadanie i zajadał je z największym spokojem, nie myśląc nawet o tym, że tą samą ręką, którą teraz pokarm do ust podnosił, zabił przed kilku godzinami człowieka. Nie miał już dawno sumienia.

Kara Boża miała go jednak dosięgnąć, bo Najwyższy nie zostawia żadnego grzechu bez kary.

Najadłszy się do syta opuścił gospodę i poszedł dalej ścieżką wskazaną mu przez gospodarza. Szczęście sprzyjało mu i wnet poznał po biało-czarnych słupkach gościńca, że znajduje się już na pruskim gruncie.

Czuł się tu już zupełnie bezpiecznym, i udał się następnym pociągiem do Wrocławia ,bo wiedział, że w wielkim mieście najlepiej ukryć się potrafi. Przybywszy tam, kupił sobie porządną walizę i elegancką garderobę, którą sobie również tu dobrał i zapakowawszy ją do kuferka, wrócił na dworzec kolejowy.

Tam zaczekał do następnego pociągu i wmieszał się w tłum przybyłych, jakby również dopiero przyjechał. Zawołał dorożkę i kazał się zawieźć do pierwszorzęd-



Wieczorna symfonia miasta...

nego hotelu. Zapisał się tam jako kupiec Latyski z Poznania, i myślał że przedsięwziął wszystkie potrzebne środki ostrożności.

Przebrał się w swoim pokoju, zaszywszy przedtem cały swój majątek w kamizelkę. Zostawił sobie tylko tyle, ile na kilka dni dobrego życia potrzebował i zeszedłszy do sali restauracyjnej, zjadł dobry obiadek i popił winem.

Pokrzepiwszy się tak, uczuł potrzebę zabawienia się i dlatego udał się do ogrodu Simmenauera, bo znał Wrocław od dawna.

Przedstawienie już się zaczęło, gdy Maks wszedł na salę.

Jakaś bardzo wydekoltowana śpiewaczka, śpiewała dwuznaczne kuplety, które okropnie oklaskiwano.

Znalazłszy wolny stolik, usiadł Maks przy nim i kazał sobie dać piwa.

Obok niego siedziało wesołe towarzystwo, złożone z trzech, bardzo wyzywająco wyglądających dam i jakiegoś wymokłego, rudego młodzika, który widocznie damom tym fundował dzisiejszą kolację.

Najweselszą była najmłodsza i najprzystojniejsza z nich, Karolina. Wygadywała bezustannie dowcipy na koszt swego towarzysza, który klął ze złości, podczas gdy reszta towarzystwa pękała ze śmiechu.

Była to ta sama Karolina, która niegdyś była przyjaciółką Józefa.

Zeszczuplała teraz trochę i straciła na świeżości. Oczy jej były podkreślone ciemnymi sińcami, a cała powierzchowność zdradzała ślady złej koniunktury, lecz humor jej był niewyczerpany.

Maks patrzał na nią z zachwytem i namyślał się właśnie, czy przysiąść do drugiego stołu, czy zaprosić Karolinę do swego, gdy wesoła dziewczyna rzekła nagle głośno:

— Jak mnie tak będziecie złościli, to wam ucieknę do tego pana, który siedzi przy sąsiednim stoliku. On dla mnie napewno będzie lepszy niż wy!

To mówiąc, złapała swoją szklankę i przysiadłszy się do Maksa, rzekła z przymilnym uśmiechem:

— Jeżeli to panu nie było na rękę, to ja znów mogę odejść!

Maks zapewnił ją grzecznie ,że mu to wielką przyjemność sprawia i zamówił zaraz w dowód tego sutą kolację ,podczas której Karolinka okazała bardzo dobry apetyt. Jadła i piła za dziesięciu. Wreszcie zamówiła jeszcze na własną rękę, dużą porcję lodów owocowych i połknąwszy je, oparła się wygodnie o poręcz krzesła, aby wypocząć po trudach jedzenia.

Towarzyszki jej przy sąsiednim stole zerkały z zazdrością na sąsiedni stół i szeptały sobie do ucha, że Karolina jest bardzo czelna, że żadna z nich nie byłaby w stanie, tak się zupełnie obcemu człowiekowi narzucić.

— Tak, tak się zawsze dzieje — rzekła jedna z nich — takie osoby mają największe szczęście.

Rudy towarzysz ich patrzał na Maksa gniewnym wzrokiem, ale nie miał widocznie odwagi zaczepić starszego i — jak mu się wydawało — silniejszego przeciwnika.

Karolina nie zwróciła zupełnie uwagi, na poprzednie swoje towarzystwo i patrzała wciąż na Maksa i jego nos czerwony jak piwonia.

Nie podobał się on jej z powierzchowności, ale czując dużo pieniędzy, pochlebiała mu się, myśląc, że praktyczniej mieć bogatego wielbiciela, choćby był brzydki, niż pięknego chłopca z próżnymi kieszeniami.

Maks również ciekawie obserwował swoją towarzyszkę.

Podobała mu się coraz bardziej i chcąc jej się również przypodobać zapytał:

— Czego by się pani teraz napiła, piwa, czy szampana?

— Szampana — odparła Karolinka zadowolona — widzę, że pan jest hojny. Podoba mi się pan!

Zachwyt jej urósł jeszcze, gdy Maks zawołał:

— Kelner, flaszkę najlepszego szampana!

Towarzyszki jej przy sąsiednim stole pożółkły z zazdrości, a wesołość Karolinki rosła z każdą chwilą. Była niewyczerpaną w swoich dowcipach. Maks pękał ze śmiechu i wybornie się bawił.

Wreszcie przedstawienie się skończyło, a Karolinka oświadczyła:

— Teraz pójdziemy jeszcze do lokalu „pod carem". Muszę trochę potańczyć, bo to wyborny środek ułatwiający trawienie.

Maks zaśmiał się głośno z tego dowcipu, zamówił fiakra i kazał się wraz z towarzyszką swą zawieźć do sali „pod carem".

Pod wpływem jednostajnego, kołyszącego ruchu dorożki i trunków tego wieczoru wypitych, usnął Maks wraz z Karolinką i nie obudzili się nawet, gdy powóz stanął.

— Heda! — krzyknął dorożkarz. — Czy myślicie, że w mojej dorożce możecie przenocować? Nie, moi ludzie, takeśmy się nie godzili!

Gdy się jego pasażerowie jednak i na to nie odzywali, zeskoczył z kozła i otworzywszy z trzaskiem drzwiczki powozu, zawołał: „Wstawajcie!"

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

ułożył „En-ka".

1							
2							
3							
4							
5							
6							
7							
8							

Znaczenie wyrazów:

1) Nakrycie głowy
2) Miasto w Polsce
3) Ciecz do pisania
4) Moneta
5) Zderzenie (wyraz obcy) wspak.
6) Ubić na polowaniu
7) Pojazd mechaniczny, wspak
8) Okres zabaw

Rozwiązanie dadzą litery umieszczone w kwadratach, grubiej oznaczonych, czytając od góry ukośnie wdół.

Kryptogram

 uł. Witold Mataczyński — Łysinin

Należy wybrać z każdego z poniższych 14 wyrazów po 3 sąsiadujące litery. Wybrane litery utworzą złotą myśl, która tworzy rozwiązanie.

Wyrazy: 1. ornat 2. ośmdziesiąt 3. wywieść 4. wielkość 5. Pakość 6. Poznań 7. żurnal 8. diabeł 9. wywiódł 10. niedziela 11. zamieć 12. jakość 13. rodzinnym 14. polisada.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 1 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 11 „Moich Powieści".

1) Konikówka: Gwałtownych uciech to i koniec gwałtowny.

2) Bilety wizytowe: I. Królewska Huta, II. Grodno, III. Kowel.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Chełminiakówna Joanna — Bydgoszcz, Mataczyńska Marta — Łysinin, Bultrowicz — Gniezno, Amatuni E. — Bukowiec, „Taki - Jeden", Jankowski St. — Bydgoszcz, Bereźnicka — Otłoczyn, Oleśnicki Zygmunt — Toruń.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Chełminiakówna Joanna z Bydgoszczy i Oleśnicki Zygmunt z Torunia.

Dla poparcia swoich słów, potrząsnął silnie ramieniem Karolinki, która bliżej siedziała.

Zbudziwszy się, zaczęła Karolinka woźnicę besztać i doszło by do bitki, gdyby Maks sprzeczki tej nie był załagodził. Dał woźnicy suty napiwek, a Karolinie obiecał ładny prezent i w ten sposób uciszył burzę, obawiając się zetknięcia z policją.

Następnie wprowadził dulcineę do lokalu...

Karolinka była jednak mocno rozczarowana, gdy się dowiedziała, że tego wieczora nie ma muzyki. Nie mogła więc sobie potańczyć, jak się spodziewała i musiała chcąc nie chcąc usiąść spokojnie przy stole! W smutku swoim zaczęła się pocieszać winem, a Maks dotrzymywał jej towarzystwa. Popili się we dwoje tak, że nie wiedzieli, co się wokoło nich dzieje.

Wreszcie zbliżyła się godzina, w której lokal zamykano i gospodarz dał gościom swoim znak do odejścia.

— Jeszcze jedną szklankę piwa — wybełkotała Karolina — mam straszliwe pragnienie!

— I ja to samo! — dodał jej towarzysz.

Kelner przyniósł żądane dwie szklanki piwa, które Maks i Karlina wypili jednym duszkiem. Wreszcie Maks zapłacił przesadnie duży rachunek kelnerowi, który liczył na jego niepoczytalność i wytransportowawszy ich z pomocą drugiego kelnera za drzwi, zamknął szybko lokal.

Gdy Maks ze swą towarzyszką stanęli na ulicy, owiał ich świeży wiatr nocny i otrzeźwił trochę.

— Teraz pójdziemy do twego mieszkania, skarbie mój! — rzekł Maks czule.

— Owszem — była odpowiedź Karliny.

— Gdyby tak można było dorożkę znaleźć — rzekł Maks. Ale nie było żadnej w pobliżu.

— To jedźmy tramwajem — zaproponowała Karolina.

Czekali dobrą chwilę na tramwaj, który jednak dawno już przestał kursować. Dorożek także nie było i wreszcie zaproponował Maks, aby pójść pieszo, może się w drodze dorożka znajdzie! Idąc, zataczali się, ale Karolina mimo to znalazła instynktownie drogę do domu, jak koń, który i w największej ciemności stajnię swoją odnajdzie.

Szli więc tak po omacku, kiwając się to w prawo, to w lewo.

Karolina mieszkała w jednym z pierwszych domów przy Hirschstrasse, a było to dość daleko. Mimo to musieli iść pieszo, bo żadna dorożka tą drogą nie nadjeżdżała.

Szli więc dalej, trzymając się z trudem na nogach. Nagle Maks krzyknął, bo znalazł się aż po kolana w wodzie. Po pijanemu wszedł do stawu, który się znajdował na samym końcu grobli.

Daremnie starał się dostać do brzegu, im bardziej nogami i rękami wywijał, tym głębiej wpadał w wodę. Śmiertelna trwoga opanowała nędznika, a strach ten otrzeźwił go i wrócił mu całkowitą przytomność. Opanowała go rozpacz ,a wraz z nią odezwały się także wyrzuty sumienia. Nie chciał umierać i bał się tego drugiego, nieznanego świata.

Przed oczyma duszy, stanęły mu nagle wszystkie jego zbrodnie i napełniły go śmiertelną obawą przed sprawiedliwością



B. niemiecki ambasador w Londynie, a obec nie min. spraw zagr. Rzeszy, v. Ribbentrop opuścił ostatnio Londyn.

Bożą. Krzyczał o pomoc ,co mu sił starczyło, a Karolina mu w tym pomagała.

Lecz okolica była pusta i nikt nie słyszał ich wołania. Widząc to, pobiegła Karolina, aby przecież kogoś znaleźć, a Maks został sam ze swą rozpaczą.

Jeszcze walczył przez chwilę, aby się utrzymać na powierzchni wody, ale skrwawiona postać zamordowanego przyjaciela zdawała się podnosić ku niemu z ciemnych fal i ściągać go gwałtem w zimny, mokry grób. Zdawało mu się, że słyszy głos zmarłego krzyczący mu do ucha: „zapłata, pomsta!“ i że staje wobec Sądu ostatecznego. Tysiące ust szeptało mu: Oto nagroda twoich czynów i wymierzona ci sprawiedliwość.

Wreszcie zmęczony bezowocną walką, wydał ostatni jęk rozpaczy i padł bezsilny w ciemne głębie. Nie żył już. Z brudem, grzechem i zbrodnią, których nie miał czasu odpokutować, musiał stanąć przed sądem Przedwiecznego, aby usłyszeć swój wyrok, swe potępienie.

Gdy Karolina nadbiegła z policjantem i kilku innymi jeszcze ludźmi, których po drodze spotkała, powierzchnia stawu była spokojna i nic na niej widać nie było.

Zaczęli szukać za utopionym długimi palami, podczas gdy dziewczyna patrzyła przerażonymi oczyma na staw i szeptała niezrozumiałe słowa. Postępowanie jej było tak dziwne, że wzbudziło podejrzenie policjanta. Tenże widząc, że wszystkie usiłowania wydobycia topielca, były daremne, zrezygnował tymczasem z poszukiwań, złapał natomiast Karolinę za ramię i rzekł:

— Chodź tu, ptaszku, posiedzisz trochę w więzieniu, a zasługujesz na areszt, choćby dlatego samego, że się o trzeciej w nocy sama włóczysz!

Dziewczyna poszła za nim bez najmniejszego oporu i przesiedziała w policji nieruchomo, na jednym miejscu, aż do samego rana. Obraz topiącego się Maksa nie schodził jej z oczu. Tak nagle zejść z życia wśród grzechów i uciech, wydawało się jej okropnym i wzruszyło ją do głębi duszy.

Przyszła do świadomości, iż istnieje zapłata i kara, i wzdrygnęła się na myśl o swym dotychczasowym życiu!

Podupadła dziewczyna ślubowała teraz z gorącymi łzami w oczach i gorętszą jeszcze modlitwą, że się odtąd poprawi i zupełnie tryb życia zmieni. Prosiła Boga, aby jej zostawił czas do tej poprawy i aby jej nie zabrał tak nieprzytomnej jak dziś jej towarzysza!

Nazajutrz starano się znów daremnie odszukać topielca, ale staw nie wydawał swej ofiary, a nagromadzone skarby Grety, spoczywały na dnie jego, wraz z rozkładającym się ciałem trupa.

A Karolina nazajutrz w śledztwie opowiedziała zgodnie z prawdą, jak się wszystko stało, a opis powierzchowności utopionego zgadzał się zupełnie z opisem osoby kupca Latyńskiego z Poznania, który zajechał do hotelu „pod białym koniem“, opuścił go wszoraj po obiedzie i więcej tam nie wrócił.

Telegrafowano do Poznania, ale stamtąd przyszła odpowiedź, że nie egzystował tam nigdy kupiec Latyński. Widocznie więc nazwisko to było przybrane. Między rzeczami jego zaś, nie znaleziono żadnych papierów.

Po kilku dniach wypuszczono Karolinę na wolność, przekonawszy się, że nie można jej było podejrzewać o to, że go w przystępie złości do stawu wtrąciła.

Właściciel lokalu „pod carem“ i kelnerzy wypowiedzieli zgodnie z prawdą, że tak Maks jak i Karolina okropnie byli pijani i że ona nie byłaby nawet mogła zdobyć się na tyle siły. Towarzyszki jej zaś wszystkie przyznały jej łagodność i spokojne, nieskłonne do raptownych porywów usposobienie. Nie było więc powodu do trzymania jej dłużej w areszcie.

Gdy ją na wolność wypuszczono, wróciła do starego swego mieszkania, aby zapłacić czynsz i zabrać rzeczy, które bardzo tanio sprzedała swoim dawnym przyjaciółkom.

Dla siebie zostawiła tylko jedną, najskromniejszą suknię, a z dochodu ze sprzedanych rzeczy kupiła sobie skromną sukienczynę z ciemnego materiału, duże płócienne fartuszki i ordynarne buciki z grubej skóry, jak dla służącej.

Z tą garderobą poszła na wieś i przyjęła służbę jako dziewka przy gospodarstwie. Wstawała pierwsza i kładła się ostatnia spać. W robocie zaś, nic jej nie było za wiele, bo pracowała z ochotą i zajęciem. Gospodyni, u której ona służyła, stawiała ją za wzór innym dziewkom.

W tym nowym życiu, czuła się Karolina o wiele szczęśliwszą niż przedtem. — Świadomość uczciwie spełnionego obowiązku, dodawała jej zadowolenia i dobrego humoru. Nie obawiała się więcej kary pozagrobowej ,bo wiedziała, że Pan Bóg przebaczy jej grzechy za skruchę i szczerą pokutę.

Wytrwała na raz obranej dobrej drodze. W kilka lat później, wyszła za właściciela małego gospodarstwa i była najlepszą żoną i matką.

Jeżeli później kiedy myślała o owej nieszczęśliwej nocy, dziękowała zawsze Bogu, że ją tym nawrócił.

Okropna śmierć owego nieszczęśliwego, była ratunkiem dla niej.

ROZDZIAŁ CCLXXXV.

Dla Zuzi zaczęło się nowe życie, od kiedy Sambo opuścił fermę. Murzyn dręczył ją bowiem w najbardziej wyrafinowany sposób i przy najmniejszej sposobności groził jej, że zdradzi mężowi jej przeszłość.

Z tego powodu żyła w ciągłej trwodze. Ale pominąwszy już to, obecność jego sprawiała jej tysiączne niedogodności. Wypijał i wyjadał jej wszystko ze spiżarki, tak, że musiała to ukrywać i wynajdywać przed mężem tysiączne wymówki.

Prócz tego wymuszał od niej każdy cent, który miała i dręczył ją ciągle aluzjami co do jej przyszłości.

— Wielki Boże, gdyby się go jakimś sposobem można pozbyć — wzdychała Zuzia dziesięć razy dziennie. — Co by to było za dobrodziejstwo dla mnie.

I Mayer odczuwał przyjemnie nieobecność Murzyna.

— Patrz, ile jaj teraz mamy, od kiedy tego czarnego diabła nie ma — rzekł on pewnego dnia do Zuzi — musiał on wypijać jaja surowe tuzinami!

— Mam już pięć kop złożonych — odparła młoda kobieta — i masła też dość uzbierałam. Trzeba by już z tem pojechać do miasta!

Ciąg dalszy w nast. numerze.

ADAM NASIELSKI

13)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

Zwarli się w uścisku i Jazon już po chwili zrozumiał, że nie da rady. Ciepła wilgoć krwi zalała mu oczy, uchwyt palców zwolnił się i kapitan usłyszał jeszcze łomot nad głową, poczuł, że żelazne ręce Willsa ciągną go gdzieś w głąb, chciał bronić się, ale stracił przytomność.

ROZDZIAŁ XXVIII.

BOHATERSKI JAZ

— Żyje?

— Bóg to wie — jak będzie na końcu. Serce bije — ale ciało się nie rusza.

— Zastrzyk?

— Poczekamy — odparł ten sam obcy głos.

Jaz słyszał to wszystko i bał się poruszyć. Wiedział ,że mógłby już otworzyć oczy, ale nie chciał. W głowie huczało mu bezustannie. Pamięć zaczęła działać — podświadomie — jeszcze przed oprzytomnieniem i ona je prawdopodobnie przyspieszyła. Cliff — nie żyje! Teraz przyjdzie kolej na niego. Inspektor Wills, gangster z Chicago, uprowadził go... i teraz...

Czytał kiedyś w jednej powieści kryminalnej o tym, że bohater udawał zmarłego i w ten sposób udało mu się uśpić czujność przeciwników i...

— Ależ on się poci! Nareszcie...

Znów ten obcy głos, który radził poczekać z zastrzykiem. Jaki zastrzyk chcieli mu dać. Jaz poczuł, że ktoś nachylił się nad nim. Zapach jodoformu, czy innego specyfiku medycznego. Co teraz nastąpi. Cicho. Znów... Zapach oddalił się i...

— Teraz!

Jazona ogarnęło mokre zimno, otworzył oczy i nim jeszcze ujrzał cośkolwiek — usłyszał głośny śmiech. Potem wzrok jego padł na obcą twarz człowieka z wiaderkiem w ręku i zrozumiał, że ten facet poprostu chlusnął nań zimną wodą.

Lecz co to szkodzi. Co to znaczy wobec radości z faktu, że widział przed sobą Thelmę Murray, a obok niej stoją — czy to możliwe! — komandor Seldon Douglas, komisarz Lawson i Cliff. Autentyczny, czarny jak smoła, kudłaty, kochana morda — Cliff. Nie! To niepodobna.

Zamknął znów oczy. Niemożliwe! Napewno mu się śni. Omamy wzrokowe i słuchowe. Cliff przecież nie żyje. I... W każdym razie znaczyło to, że Jaz jeszcze nie umarł. A może... Lecz co mu z tej świadomości...

— Oniemiał ze strachu, nasz odważny kapitan — rzekł człowiek z wiadrem i Jazon Kent zbuntował się. Sen — czy mara, gangsterzy — czy uczciwe łotry, na tym czy na tamtym świecie — ale kapitan Kent nie pozwoli z siebie kpić! Choćby zwariował, jeżeli nawet Seldon Douglas jest gangster na całego, Lawson jego lewą ręką a Thelma agentka kontrwywiadu szpiegowskiego i Cliff na ich żołdzie. Było nie było!

— Tym lepiej.

Poczuł rękę Thelmy w swojej, widział jej zieloną suknię na tle białej pościeli i białego pokoju i ogarnęły go wątpliwości. To chyba jest jednak rzeczywistość.

— Jak się czujemy, bohaterze dnia.

— Bohaterze... czego... miss... Murray Thel!

— No, tak — wtrącił się do rozmowy komandor Douglas. — Właściwie i tak mieliśmy zamiar zlikwidować dom na wzgórzu. Gdyby jednak nie pan — Fred Blanchard byłby może uciekł...

— Fred ...Blanchard — Jaz znów stracił orientację. A więc jednak sen, lub ordynarny kawał. Lub... psiakrew!...

— Fred Blanchard, alias Bos, alias inspektor Buddy Wills. Szef szajki gangsterskiej, która po zniesieniu prohibicji z braku innego zajęcia przekształciła się na szajkę szpiegowską.

— Gdzie ja jestem...

— W szpitalu, jak pan chyba zauważył, kapitanie. Znaleźliśmy pana nieprzytomnego i na pół martwego z upływu krwi — z inspektorem Buddy Willsem w ramionach. Trzymał go pan tak mocno, że ledwośmy was mogli rozdzielić. Szczęściem, nie udusił go pan... Dark wezwał nas prawie za późno.

— Ja ...jego!? On mnie trzymał.

— Może i tak. Trudno było odróżnić. Faktem pozostanie, że udaremnił mu pan ucieczkę w ostatniej chwili, przez tajemne wyjście z piwnicy, gdzie czekał na niego samochód, o którym my — ja i Lawson — nie mieliśmy pojęcia. Przyznaję, w końcu, że wprawdzie i bez pańskiej interwencji zlikwidowaliśmy i tak szajkę i archiwum — ale bos byłby nam uciekł. Otrzyma pan więc swoją uczciwie zarobioną nagrodę, bez obawy, kapitanie Kent. Sześć tysięcy dolarów w gotowiźnie.

— Sześć tysięcy...! Znów... pieniądze — wyjąkał Jaz z przerażeniem i dopełnił jednym tchem: — Kto z nas jest nieprzytomnym, komandorze Douglas... jeżeli nie jest pan kimś innym, oczywiście.

— Naprzykład negusem negusti, co! Nie, kapitanie, przypadkowo obaj jesteśmy teraz przy zdrowych zmysłach. Nie będziemy więc przeszkadzać. Resztę opowie panu miss Murray.

Seldon Douglas skłonił się, dał znak Lawsonowi i lekarzowi, którzy właśnie odstawiał wiaderko, jakim tak elegancko i radykalnie „poczęstował" swego pacjenta.

— Proszę oszczędzać chorego, miss Murray — rzucił doktor na odchodnem. — Upływ krwi był i tak prawie ponad wytrzymałość przeciętnego organizmu.

Znów zapanowała cisza. Ale Thelma Murray była tu, żywa — i Cliff był również. Więc...

— Jak...

— Cicho, bohaterze. Niech pan mówi jak najmniej. Lekarz nakazał, sam pan słyszał. Opowiem sama wszystko i dokładnie.

Położyła mu dłoń na ustach. Nie oponował, bo to nie było przykre. Jej altowy, miły głos działał jak balsam na jego nerwy.

— Wills porwał mnie wtedy na szosie, bo myślał, że wiem, kim on jest naprawdę. On też wysłał sfingowaną depeszę do mego papy. Gdy pan zgłosił się do policji, komandor Seldon był właśnie w trakcie tej, likwidacji zdaje się, nie wiem czy wyrażam się fachowo. Dlatego nakazał Lawsonowi pozornie zignorować pański meldunek, bo to podobno mogło zaszkodzić w akcji śledczej, spłoszyć wszystkich przed siatką. Dlatego początkowo wypuszczono Sedgwicka. Na nieszczęście, czy na szczęście — bo doktorek zapewnia, że panu nic nie będzie — pan udał się tam na wariata i... czy pamięta pan resztę?

Wsłuchiwał się tylko w brzmienie jej głosu i gdy urwała, poprosił:

— Niech pani mówi jeszcze.

— Przecież już wszystko panu wyjaśniłam.

— Ja i tak nic z tego nie rozumiałem. Wsłuchiwałem się tylko w pani głos. Co mnie obchodzi, jak to się stało. Pani jest przy mnie... Thelmo ...Cliff żyje. Reszta — to głupstwo. Nawet nie chcę wiedzieć, jak to się stało. Tylko...

— Co...

— Proszę siedzieć przy mnie, długo... miss Murray. Proszę nie odchodzić...

— Wcale nie mam tego zamiaru — odwróciła się, aby ukryć łzę, bo Jazon zbladł naraz jak śnieg, osunął się bezwładnie na poduszki i znieruchomiał. Cliff skoczył jak oparzony i wrócił z lekarzem, który... najpierw zajął się cuceniem Thelmy. Jej pierwsze pytanie po ocknięciu się brzmiało:

— A Jaz... kapitan Kent?

— Zwykłe przesilenie. Teraz zacznie wracać do zdrowia w dobrym tempie. Ani się obejrzymy jak będzie mógł połykać melony. Nieprzeciętny organizm. Bardzo zdrowy okaz!

„Okaz" nie słyszał tej rozmowy. Spał, gdyż to co Thelma wzięła za omdlenie było właśnie zdrowym acz nagłym zapadnięciem w sen. A tymczasem ona zemdlała. Uśmiechnęła się blado do Cliffa i wydała mu szeptem polecenie.

— Ależ, miss...

— Cicho, Cliff. Proszę słuchać...

— Jak pani sobie życzy. Chociaż, ja mógłbym czuwać przy...

— Cicho — powtórzyła Thelma. — Kapitan śpi! A pan sam też jest ranny i osłabiony. — Zamilkła na chwilę i dodała, z przejęciem: — On zaryzykował życie, aby mnie ocalić. Czy któryś z tych moich adoratorów — wymoczków zdobyłby się na to. Pan nie zna kobiet, mr. Hallet.

— Znam się na zakochanych, miss Murray. — I Murzyn - filozof wyszedł z uśmiechem. Jednak znał się na kobietach. Oj, znał...

ROZDZIAŁ XXII.

TIME IS MONEY

— Mam tylko pięć minut czasu, kapitanie Kent. Więc krótko i węzłowato: Otrzymuje pan stanowisko kierownika wydziału portowego w Truście Transportowym. Pensja tysiąc dolarów miesięcznie. Kontrakt próbny — sześć miesięcy. O ile po tym czasie stwierdzimy, że pan się nie nadaje, traci pan połowę złożonej kaucji, to jest dwa tysiące pięćset dolarów i, mówiąc realnie wylewamy pana na zbity łeb. Czy te warunki panu odpowiadają?

— W zupełności, mister Murray. Ale...

— Pozostało jeszcze dwie minuty, a mój czas jest wyliczony. Chciał pan zapytać o moją córkę. Ona pana podobno kocha.

— I ja ją również?

— Nie znam się na tym — przyznał mister Harold Murray z rozbrajającą szczerością. — Moją specjalnością są sprawy transportowe.

Spojrzał na zegarek.

— Jeszcze minuta. Krótko: róbcie co chcecie, pan i Thelma. To rozsądna dziewczyna.

— Wrodziła się w ojca.

— Bez pustych słów. Time is money, kapitanie. Za miesiąc zgłosicie się do mnie oboje i jeżeli wtedy będziecie się jeszcze kochali, żeńcie się nawet.

— Ależ! Mister Murray...

— Pięć minut — brzmiała lakoniczna odpowiedź. — Audiencja skończona. Do widzenia.

— Do widzenia... przyszły teściu!

Jazon wstał, podał rękę milionerowi i wyszedł. Na korytarzu spotkał Thelmę i opowiedział jej o wszystkim. Uśmiali się oboje.

— Odwiozę cię do Stevensa, Jaz.

Tu czekała go niespodzianka w osobie komandora Seldona Douglasa.

— Good morning. Przyniosłem panu sześć tysięcy dolarów. Proszę pokwitować.

— Zaraz, panie komandorze. Nie przyjmuję ani centa, póki nie otrzymam kilku wyjaśnień.

— Żadnych wyjaśnień nie udzielamy.

— Wobec tego — rozłościł się Jaz pozornie i wskazał na Thelmę. — Jutro „Megaphone" napisze wyczerpująco o tej całej historii.

— Sprzysiężenie, jak widzę. Skoro tak, proszę pytać.

— Dlaczego Sedgwick zwrócił się z tą historią właśnie do mnie?

— Zwykła omyłka. Właśnie wtedy, kiedy pan przyszedł do La Salle'a w owo południe miał się do Sedgwicka zgłosić agent z centrali w New-Yorku — lecz owego pana myśmy przytrzymali w drodze.

— Sobowtór?!

— Skądże! Sedgwick nie znał go nawet osobiście i ów jegomość wcale zresztą nie jest do pana podobny. To się zdarza w powieściach szpiegowskich, ale nie w życiu.

— Więc jak?

— Poprostu ów człowiek miał się w ten sposób dać poznać Sedgwickowi, że go poczęstuje papierosem „Cortez".

— Aha! — zrozumiał Jaz wszystko. — Mówiłem, że te papierosy przynoszą mi szczęście.

— Gada pan głupstwa — żachnął się poważny komandor Douglas. — Żadne papierosy nie przynoszą szczęścia i wstyd, żeby dorosły człowiek wierzył w takie bzdury.

— A propos. Mogę pana poczęstować „Cortezem".

— Dziękuję. — Komandor Douglas zapalił i wstał. — Muszę już iść.

Spojrzał znacząco na Thelmę i dodał:

— Przypominam, kapitanie Kent, że w pana własnym interesie leży, aby cała ta historia poszła w zapomnienie. Pan nie był tu taki chemicznie czysty. Bądź co bądź, był pan przez pewien czas najprawdziwszym szpiegiem.

— Przyznaję — zarumienił się Jaz. — Mam jednak jeszcze jedno pytanie, komandorze.

— Jakie?

— Właściwie na rzecz jakiego państwa — na czyją rzecz ja szpiegowałem? Wolno mi to chyba wiedzieć.

— O nie! To jest tajemnica urzędowa.

Komandor wyszedł, tłumiąc śmiech.

KONIEC.



Niedziela, dnia 27 marca 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Najświętszej Marii Panny w Piekarach Śląskich. Przed nabożeństwem reportaż. 11.00 „Madame Butterfly" — skrót opery Pucciniego z płyt 12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa 13.10 „O Maćku, który w górach przepadł" — opowiadanie Tetmajera 13.30 Muzyka obiadowa około 14.00 Wyniki Wielkiego Konkursu Zimowego 14.45 Audycja dla wsi 15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.05 Stare pieśni ukraińskie (ze Lwowa) 16.45 „Amer — ponury cień Sahary" — opowieść mówiona 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" — z Poznania 18.35 „Ciemnogród" — premiera słuchowiska groteskowego 19.35 Słynni wirtuozi (XVI audycja) 21.15 „Sensacja amerykańska" — „Wesoła Syrena 22.00 „Opowieść o Beethovenie" (V audycja): „Na szczyty."

Poniedziałek, dnia 28 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Orkiestra rozrywkowa z Łodzi 17.00 „Film w szkole" — odczyt 17.15 Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego 18.10 Piosenki w wykonaniu Turnera Laytona (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Magia sportu" — słuchowisko Józefa Kempy 19.30 Dyskutujmy: „Wytwórca czy spożywca" — dialog 20.00 „Kalejdoskop" — lekka audycja muzyczna (z Poznania) 21.00 W pierwszą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego Koncert symfoniczny, transmisja z Teatru Wielkiego (z Poznania).

Wtorek, dnia 29 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Muzyka francuska (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Przy kominku" — audycja dla dzieci 16.15 Koncert orkiestry wileńskiej 17.00 „Od Kairu do Luksoru" — felieton 17.15 Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Wieczór bajek 19-go i 20-go wieku w opracowaniu K. Górskiego 20.00 Melodie taneczne w wyk. Małej Orkiestry P. R. 20.45 „Złoto Renu" — dramat muzyczny Wagnera (transmisja z teatru „La Scala" w Mediolanie.

Środa, dnia 30 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Feliks Mendelssohn: fragmenty z tria d-moll op. 49 (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Janek z lasu" — opowiadanie dla dzieci 16.15 Muzyka salonowa w wykonaniu Kwartetu Rozgłośni Krakowskiej 17.00 „Człowiek wojny przyszłości" — odczyt 17.15 „Jan Sebastian Bach" — koncert 17.50 Młodzież przed wyborem liceum — odczyt 18.10 Sylwetki kompozytorów jazzowych (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Wrak" — nowela z życia rybaków kaszubskich 19.20 Zapomniane pieśni w wykonaniu Mieczysława Saleckiego 19.35 „Rzecz o półce księgarskiej" — dialog dyskusyjny 19.50 Przemówienie wojewody śląskiego dr. M. Grażyńskiego z okazji „Tygodnia Polskiego Zw. Zachodniego" 20.00 Koncert rozrywkowy (płyty) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Colette Gaveau 21.45 Z cyklu nieprzemijający urok poezji — „Pan Szambelan i poeta" — kwadrans poetycki 22.00 Koncert popularny.

Czwartek, dnia 31 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Pieśni i tańce Mazowsza" — poranek muzyczny 11.40 Gra Colette Frantz — skrzypce (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży 16.15 Muzyka lekka w wykonaniu orkiestry wojskowej 17.00 Wiedza i książka: „Człowiek pod mikroskopem" — odczyt 17.15 Recital fortepianowy Agi Jambor 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Oryginalny Teatr Wyobraźni: „Protekcja" — komedia radiowa 19.30 Wileńskie pieśni regionalne 19.50 Przemówienie wojewody pomorskiego min. Wł. Raczkiewicza 20.00 Muzyka lekka i taneczna 21.45 „Rozmowa o powieści" — dialog W. Sieroszewskiego i M. Rusinka 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 1 kwietnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Tenor Francesco Merli w duetach operowych (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Hokus-Pokus-Dominikus" — wesołe audycje dla dzieci 16.15 „Ze wspomnień Komilitona" — lekka audycja muzyczno-słowna 17.00 Pośrednictwo pracy — pogadanka 17.15 z teki kompozytorów lwowskich — koncert 18.10 Muzyka lekka (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Kurant staroświecki: Pan Eugeniusz" — szkic obyczajowy 19.30 Recital mandolinowy Fanny Ślezak 20.00 Koncert wieczorny z Krakowa 21.55 Pierwsza krajowa audycja telewizyjna ze Lwowa.

Sobota, dnia 2 kwietnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Wolfgang Amadeusz Mozart: Serenada „Eine kleine Nachtmusik" (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Słuchowisko dla dzieci — „Jak polska pyza wędrowała" 16.15 Koncertt solistów — muzyka lekka 16.50 Transmisja nabożeństwa z Kaplicy Matki Boskiej Bolesnej Kościoła Franciszkańskiego w Krakowie 18.15 Piosenki w wyk. Stefana Witasa (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Koncertt rozrywkowy 21.45 Dwa monologi Sing-Eltona 22.00 Orkiestra Adama Hermana.



WYBRAŁ...

Ogromnie zdziwili się Salcesońscy, gdy Miecio Gwint oświadczył, że nie ożeni się z Irenką.

— Jak to, przecież pan wie, że nasza córka dostaje 20 tysięcy gotówką?

— Tak, lecz dowiedziałem się również, że panna Irena dwa razy tyle wydała na krawcową.

— Więc?...

— Więc ożenię się z tą krawcową!

TRANSAKCJE MYŚLIWYCH

— Panie kolego, a może zamieniłby się pan ze mną łupem myśliwskim? Ja panu dam mojego rysia, a pan mi da swojego dzika.

— Hm, to zależy od tego, ile pan kolega za swojego rysia zapłacił.

UPRZEJMOŚĆ

— Wiesz, Buba, przyjęliśmy twoją dawną pokojówkę, Zosię!

— Ach, jak mogliście taką...

— Ależ nie obawiaj się, my przecież nie wierzymy w to, co ona o tobie opowiada.

CENNA PAMIĄTKA

— Czy ten medalion, który pani nosi, zawiera w sobie jakąś pamiątkę?

— Tak, lok włosów mego męża.

— To pani mąż nie żyje?

— Żyje, ale jest łysy.

ZMARTWIENIE OJCA

— Mam zmartwienie z synem.

— No?

— Ani w karty nie umie grać, ani pić nie potrafi...

— To tym się martwisz? Powinieneś się cieszyć.

— Tak, ale ten dureń pije i gra.

RADOŚĆ ŻYCIA

Głąbek otrzymał podwyżkę płacy. Cała rodzina cieszy się z tego powodu, lecz Głąbkowi to nie wystarcza. Zwraca się do żony:

— Kundziu, daj złotej rybce jeszcze jedną porcję mrówczych jajek. Dzisiaj chcę widzieć dokoła siebie same uśmiechnięte twarze.

Z PRAKTYKI LEKARSKIEJ

— A ja koledze powiadam, że to zwyczajna grypa.

— A ja twierdzę, że zapalenie płuc i gotów jestem założyć się.

— O dobrą kolację — dobrze?

— Znakomicie. Za parę dni przekonamy się przy sekcji!

NIETAKT

Katastrofa samochodowa. Spod auta wydobywają poranionego szofera Murzyna. Przybyły lekarz zabiera się do zszywania ran ofiary wypadku.

W pewnej chwili Murzyn, który dotychczas nawet nie jęknął, zrywa się nagle oburzony:

— Panie doktorze, jak pan może zszywać mnie białą nitką?

KRES WĘDRÓWKI

Godzina czwarta nad ranem.

Przed wejściem do małego domku na przedmieściu stoi jegomość i bezskutecznie usiłuje umieścić klucz w dziurce.

Zbliża się jakiś przechodzień.

— Widzę, że pan szanowny nie może sobie poradzić. Niech pan da mi klucz to otworzę...

— Nie, dziękuję... Przytrzymaj pan lepiej dom, żeby się tak nie kiwał...

RODZINA

Do dużego przedsiębiorstwa przyjęto młodego człowieka na praktykę. Po tygodniu wzywa go kierownik, człowiek dłoń przychylnie usposobiony i pyta:

— Jakże pan się czuje wśród kolegów, panie Golski, zapewne jak w rodzinnym gronie?

— Przeciwnie, panie kierowniku, koledzy traktują mnie bardzo przyjaźnie.



— Wiesz, chciałem dzisiaj zmienić banknot stuzłotowy.

— No... i...

— Wyobraź sobie, że go w ogóle nie miałem.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimtrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.